

Rawinis M.P.

Romantyczne chwile

Dla Ciebie księżyc



1

- Czekoladkę?

Gabrysia Kubacka podziękowała uśmiechem i poprawiła się w fotelu. Siedzący obok mężczyzna nadal trzymał przed nią otwarte pudełko.

- Już nie mogę się doczekać lądowania! - westchnął. Dziewczyna zajęta była sprawdzaniem pasów i tylko skinęła głową. Pan Alex Domino z Toronto zadreślał ją przez ostatnie godziny i myślała z ulgą, że podróż dobiega już końca.

- Lądujemy za trzydzieści minut - powiadomił słodki głos stewardessy. - Temperatura w Warszawie dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. Dziękujemy państwu za wspólny lot.

- Przeżyłem to tylko dzięki pani, Gabi - Alex Domino pochylił się w stronę sąsiadki. - Nie wiem, jak wytrzymałbym ten stres w innych warunkach. Na pewno się pani nie poczęstuje?

- Słodczyce są najlepsze na stres - zgodziła się. - Ale jeszcze jedna oznacza katastrofę dla mojej figury.

We wzroku Aleksa Domino było zdumienie.

- Pani?! Pani nic takiego nie grozi!

Gabrysia odpowiedziała na komplement zmęczonym uśmiechem. To była ich ósma godzina w samolocie linii Canadian i czuła się wyczerpana. Podczas lotu nie mogła spać i teraz po prostu leciała z nóg. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia pięć minut. Potem odprawa i taksówką do domu, razem godzinka. O szóstej położy się do łóżka i wstanie nie wcześniej niż za dwanaście godzin. Błogosławiona zmiana czasu.

Jej sąsiad zdawał się być nieczuły na tę zmianę, choć Gabrysia pamiętała, co mówił przed startem.

- Lecę dopiero drugi raz - oświadczył. - Nieźle jak na czterdzieści dziewięć lat życia!

Początkowo był nieco irytujący, bo rozwodził się nad tym,

jak bał się podczas pierwszego lotu przed dwudziestu laty. Pierwszy lot Aleksander Domino odbył z Warszawy do Toronto.

Uspokoił się nieco później, gdy byli już wysoko nad ziemią i przez następnych kilka godzin samolot nie musiał wykonywać żadnych niebezpiecznych manewrów. W ciągu tych kilku godzin Gabrysia poznała dokładnie historię pana Aleksa.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek wrócę do starego kraju - opowiadał. - Ani przez chwilę, proszę pani! Aż do zeszłego miesiąca.

W ubiegłym miesiącu pan Alex, niegdyś architekt, a teraz właściciel niedużej firmy budowlanej, otrzymał list z zaproszeniem na ślub. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie okoliczności.

- Napisał do mnie pierwszy raz - cieszył się pan Aleksander, od dwudziestu lat będący Alekssem. - Ja pisałem wielokrotnie, wysyłałem kartki, życzenia urodzinowe. I oczywiście pieniądze. Ale on nie napisał nigdy. Ja wiem, że to moja była żona źle go do mnie nastawiła. Aż tu naraz przychodzi listonosz i przynosi list. Płakałem, proszę pani, jak strasznie płakałem! Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złożony arkusik papieru. - Niech pani zobaczy! - zachęcał Alex, wciskając list pomiędzy palce Gabrysi. - Niech pani zobaczy i sama powie, czy nie mam racji. On tak pisze jak kochający syn. I to jak kochający! Teraz wszystko zrozumiałem! Ona, moja żona, nie dała mu pisać wcześniej, może ukrywała moje listy, może je wyrzucała bez czytania...

Gabrysia uprzejmie rzuciła okiem, ale pan Alex zachęcał, żeby przeczytała list w całości.

„Drogi Tato - pisał młody mężczyzna imieniem Janusz. - Nareszcie zdobyłem Twój adres. Nie wiem, czy życzysz sobie, żebym do Ciebie pisał. Ale chcę, żebyś Ty wiedział, że wiele razy zastanawiałem się, kim jesteś i jaki jesteś. Nic o tobie nie wiem, a chciałbym się wszystkiego dowiedzieć. Może w ogóle nie pamiętasz, że istnieję. Na wszelki wypadek przypominam Ci, że mam dwadzieścia sześć lat. Za miesiąc żenię się z cudowną dziewczyną, Renatą. Pochodzi z Twoich stron, z Krzemionki koło Supraśla. Ona i ja bardzo chcemy Cię poznać. Może mógłbyś przyjechać na nasz ślub? Nie wiem, w jakiej jesteś sytuacji finansowej, ale gdybyś był w trudnej, to zapłacę za Twoją podróż. Więc niech pieniądze nie staną między nami. Oczekujemy Cię

w kościele (nowym) w Supraślu w sobotę, 29 czerwca, o godzinie 14". Podczas długiego lotu Gabryisia dowiedziała się wszystkich szczegółów z życia pana Alexa i jego rodziny. Zostawił żonę i dziecko, wyjechał za chlebem. Powiodło mu się.

W portfelu pan Alex miał fotografię, starą fotografię, która towarzyszyła mu przez lata pobytu w Kanadzie. Na fotografii kilkuletni chłopczyk trzymał za rękę wysokiego, smukłego mężczyznę.

- To on - wyjaśnił niepotrzebnie Alex Domino. - Janusz. Ciekawe, czy nadal jest do mnie podobny.

- Na pewno - stwierdziła Gabryisia.

- Tak pani myśli? - Pan Domino był zadowolony z tej uwagi. -

Kochałem go, gdy był mały - powiedział przez ściśnięte gardło. - Teraz też go kocham. I jestem zadowolony, że znalazł kogoś, z kim chce się związać na całe życie...

Pokazał Gabryisi pudełeczko, które wyjął z kieszeni marynarki. Były w nim dwie grube złote obrączki, leżące na różowym aksamicie.

- Kazałem wyciąć napisy - chwalił się. - Kochanemu synowi Januszowi.

Kochanej córce Renacie. I data. - Napisałem do nich - tłumaczył Gabryisi. - Napisałem na adres Renaty, bo tylko taki miałem. Że przyjadę na ślub i że przywiozę obrączki. - Jestem pani bardzo wdzięczny, Gabi - dziękował. - Rozmowa z panią bardzo wiele mi dała.

Gabryisia Kubacka uśmiechała się niepewnie. W czasie całego lotu mówiła raczej niewiele i nie uważała, żeby sąsiad miał szczególne powody do wdzięczności. Ale domyślała się, że Alex Domino dziękuje jej za możliwość wygadania się. Opowiadał, jak ciężko i dużo pracował. I mówił, jaki był osamotniony przez dwadzieścia lat pobytu w Kanadzie. Im bliżej lądowania, tym bardziej wydawał się zestresowany. Bał się spotkania z ziemią, bał się spotkania z Polską, bał się spotkania z synem.

- Już niedługo - Gabryisia uśmiechem dodała mu odwagi. Nagle jej sąsiad gwałtownym ruchem poluzował krawat.

- Trochę mi słabo - oświadczył i Gabryisia zobaczyła, że bezwładnie osuwa się w fotelu.

Personel samolotu zareagował bardzo profesjonalnie. Alex Domino ocknął się, rozejrzał wokoło przeproszającym wzrokiem.

- To nic - powtarzał. - To przecież nic, ja zaraz... Pielęgniarka dotknęła jego ręki, dyskretnie badając puls.

- Wytrzyma pan? To kilka minut.

- Tak, tak - zapewniał. - Nie chcę robić kłopotu... Gabrysia chciała przesiąść się na inne miejsce, żeby chory miał więcej powietrza, ale zatrzymał ją gestem.

- Proszę zostać, Gabi. Proszę zostać.

Zgodnie z życzeniem Aleksa Domino trzymała go za rękę aż do wylądowania. Zaraz potem na pokład samolotu wszedł personel wezwanej karetki pogotowia i starszy, siwy lekarz o pulchnych policzkach.

- Proszę się nie ruszać - powiedział. - To nic wielkiego. Zrobił leżącemu zastrzyk, a potem kazał go zabrać na nosze i wynieść do czekającej na zewnątrz karetki.

- A pani kto? - zwrócił się doktor do Gabrysi, bo Alex Domino nie chciał puścić jej ręki. - Rodzina?

- Nie - zaprzeczyła. - Co mu jest, panie doktorze?

- Zawał.

Gabrysia zbladła, więc lekarz uspokoił ją gestem.

- Raczej niezbyt groźny - wyjaśnił. - Poleży kilka dni.

- Kilka dni? - przeraziła się. - A wesele? Przyleciał na ślub syna, ma obrączki i w ogóle...

Lekarz wzruszył ramionami.

- Ślub przecież można przełożyć. A poza tym źle chłopakowi w kawalerskim stanie? Niech mu pani powie, żeby się jeszcze zastanowił. Po co dobrowolnie włączyć w paszczę tygrysowi?

2

Gabrysia podeszła do odprawy jako ostatnia. Młody celnik przyjrzał się jej z wielką uwagą, jakby sprawdzał, czy ktoś tak wdzięczny dla oka musi przejść obok jego stanowiska i nie może zostać na dłużej.

- Może coś do oclenia? - zapytał z nadzieją.

Patrzył na długie jasne włosy, zielonkawe oczy, prosty nos

i zmysłowe usta dziewczyny. Mniej uwagi poświęcił dwóm podróżnym torbom.

Gabrysia Kubacka pokręciła głową przecząco. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej opuścić lotnisko.

- Zupełnie nic? - Celnik wydawał się rozczarowany. - Nawet gdybym dokładnie panią przeszukał?

Gabrysia była zmęczona i nie miała ochoty na rozmowy.

- Jak widać - rzuciła niezbyt uprzejmie. - A łapy niech pan trzyma przy sobie.

Celnik zacmokał głośno.

- A to co? - zapytał, wzrokiem wskazując przedmiot, który trzymała w ręce. - Mały szmugielek? Trzymamy w rączce, bo chcemy służby celne wyprowadzić w pole? Oj, pójdziemy chyba na osobistą...

- Nigdzie nie pójdę! A już na pewno nie z takim konusem. Trzymała w garści pudełeczko, które tuż przed zabraniem do karetki pogotowia wręczył jej Alex Domino. Etui ze ślubnymi obrączkami dla jego syna i Renaty.

To ono zainteresowało celnika. Urażony w swojej męskiej godności chciał wyrwać pudełeczko z rąk Gabrysi, ale zaraz pojawił się starszy celnik. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Bardzo proszę - odpowiedziała, wskazując palcem młodego człowieka w mundurze. - Ten pan robił mi niedwuznaczne propozycje. Obrączki są w deklaracji celnej pana Aleksa Domino.

Otworzyła etui i podsunęła je w kierunku starszego z mężczyzn. Ten spojrzał na zawartość pudełka.

- Aha - powiedział. - To pani jest od tego zawałowca z 626 Canadian. Chce pani złożyć skargę?

Gabrysia wzruszyła ramionami.

- Teraz to już chyba niepotrzebne. Dziękuję za interwencję.

- Bardzo przepraszamy. Proszę przechodzić.

A kiedy odeszła, starszy celnik mruknął do kolegi:

- Jak szef zmiany zobaczy jeszcze jeden taki numer, wylecisz na pysk! Młodszy celnik westchnął.

- Tylko sobie marzyłem, panie Jacku. Widział pan te nogi? Do samej szyi!

Posiadaczka nóg do samej szyi wsiadła tymczasem do taksówki i jechała przez Warszawę w kierunku ulicy Orlej. Tam, na pierwszym piętrze niedużego bloku, miała przez kilka tygodni zamieszkiwać w lokalu wypożyczonym jej przez znajomych. Mieszkająca tu para studentów zaliczyła już sesję egzaminacyjną i wyjechała na Mazury, zostawiając Gabrysi spokojne gniazdko na więcej niż połowę letnich wakacji.

Na drzwiach do mieszkania wisiała kartka z tekstem wypisanym starannymi, wielkimi literami: „Gabryśka, czuj się u nas jak my u ciebie. Klucz u pani sąsiadki, na hasło. Iwona i Marek”.

Sąsiadka zajmowała lokal numer cztery na tym samym piętrze. Gabrysia Kubacka zastukała do drzwi, gorączkowo zastanawiając się, jakie hasło mogli mieć na myśli jej znajomi. Tego tylko brakowało! Ona marzy o kąpieli i odpoczynku, a tu jakiś babsztyl będzie jej robić trudności z wydaniem kluczy. Ratunku!

Drzwi otworzyły się, stanęła w nich kobieta z kotem na rękach i życzliwym uśmiechem na twarzy.

- Pani Gabrysia? Jedną chwileczkę...

Przymknęła drzwi, a gdy po chwili ponownie je otworzyła, trzymała w ręku pluszowy breloczek z kluczami.

- Przepraszam - usprawiedliwiała się Gabrysia. - Miałam ciężki lot i chyba zapomniałam hasła...

- Pani o tym na drzwiach? Nie, nie trzeba. To tylko taki żart pana Marka. Od razu panią poznałam, ze zdjęcia. A kartki pan Marek nie kazał zdejmować, bo mówił, że złodziej jest za mało inteligentny, żeby się połapać, i zostawi mieszkanie w spokoju. To na wszelki wypadek, bo ja przecież stale nasłuchuję i zawsze sprawdzam, czy kto obcy nie majstruje przy zamku... - Dawno wyjechali?

- Przedwczoraj. Kazali powiedzieć, że nie wrócą przed pierwszym sierpniem. Gabrysia podziękowała uprzejmie, a zanim otworzyła drzwi do swojego mieszkania, zdjęła z nich kartkę od przyjaciół.

Znała to mieszkanie, sama je wynajmowała na drugim roku studiów, a później zaprotegowała Iwonę u właściciela lokalu.

Rzuciła torby w przedpokoju, poszła do łazienki i puściła wodę do wanny. Nie miała ochoty na jedzenie, rozpakowywanie się, robienie czegokolwiek. Nawet na szukanie nocnej ko-

szuli. Wytarła się tylko w przygotowane czyste ręczniki, wyjęła z tapczanu świeże prześcieradła i rzuciła się na posłanie.

3

W dwupokojowym mieszkaniu Iwony i Marka pełno było książek, obrazów, drobnych form rzeźbiarskich i artystycznych tkanin. Nie było natomiast żadnych zapasów, nie licząc kilograma mąki i pudełka cukru w kostkach. W pustej lodówce leżały dwa podwiędłe ogórki.

Na swoje szczęście Gabrysia znalazła trochę kawy i zaparzyła ją w grubym kubku, który postawiła na stoliku w ciasnej kuchni.

Potem wśród książek umieszczonych na półkach w pokoju wyszukała kilka przewodników i stary atlas, które przyniosła do kuchni. Siedząc na twardym drewnianym stołku, wertowała je pospiesznie, mrużąc pod nosem:

- Jak, do diabła, nazywała się ta wioska?

Odnosiła książki do pokoju, gdy przypomniała sobie poszukiwaną nazwę.

- Krzemionki! - zawołała. - Krzemionki koło Supraśla. Gabi, jesteś genialna!

Poczuła nagle głód i poszła po zakupy do sklepu spożywczego na rogu ulicy. Wracając do domu, zatrzymała się przy kiosku z gazetami. Mogli tu mieć mapy kraju, ale za szybką tkwiła akurat kartka z informacją, napisaną z bardzo popularnym błędem „wyszłem na pocztę”, a Gabrysi nie uśmiechało się czekać nie wiadomo jak długo.

Po posiłku spokojnie wypaliła papierosa i wybrała się do księgarni, gdzie kupiła składaną mapę drogową Polski.

Mapa była duża, bardzo szczegółowa i kosztowała dwanaście złotych. Zaraz po wyjściu z księgarni Gabrysia rozwinęła papier na pobliskim murku, przejrzała indeks miejscowości i nie znalazła Krzemionek.

- Nie szkodzi - pocieszyła się. - Mapa tak czy inaczej się przyda, gdy będę tam jechać.

Supraśl leżał koło Białegostoku, na obrzeżach Puszczy Knyszyńskiej i Parku Krajobrazowego, Krzemionki zapewne gdzieś blisko.

Teraz znała już miejsce, pozostawało tylko dostarczyć etui z obrączkami na miejsce. Zadanie wydawało się nieskomplikowane. Była środa, wczesne popołudnie, do godziny czternastej w sobotę pozostawały pełne trzy dni.

- W tym czasie dojechałabym tam nawet rowerem - uznała, stawiając w odpowiednim miejscu mapy wyraźny krzyżyk.

Początkowo chciała wysłać pudełeczko pocztą kurierską, ale obawiała się, że bez dokładnego adresu przesyłka nie zostanie przyjęta. Poza tym chory sąsiad z samolotu wymusił na niej obietnicę, że odda obrączki osobiście i choć teraz nie była tym zachwycona, inne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy.

Po namyśle przyznała nawet rację Aleksowi Domino. Wiedziała o nim więcej niż ktokolwiek inny. Mogła coś z tego powtórzyć jego synowi. A już na pewno to, jak ojciec mówił o swojej miłości i tęsknocie. Byłoby bezduszne wysłać obrączki pocztą albo przez przypadkowego posłańca. Alex Domino przebył kilka tysięcy kilometrów, żeby poznać syna i zdążyć na jego ślub.

- Ja to mam pecha! - powiedziała Gabrysia Kubacka, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze zawieszonym w przedpokoju. - Zawsze mi się coś takiego przytrafi. Mam w końcu dość własnych zajęć.

Ale to nie była prawda. Niewiele miała do roboty w stolicy. Do Polski przyjechała na urlop i mogła go zaplanować, jak chciała. Zdecydowała się nie tylko pojechać do Krzemionek, ale i zabrać ze sobą którąś z koleżanek ze studiów. Wybór padł na Ewelinę Marciniak, przyjaciółkę od serca jeszcze z czasów licealnych, która do propozycji Gabrysi podeszła z wielkim entuzjazmem.

-Na pewno załapiemy się na wesele! - krzyczała rozradowana do telefonu. - Zawsze chciałam coś takiego zobaczyć. Prawdziwe wiejskie wesele!

Gabrysia podchodziła ostrożniej do udziału w cudzych uroczystościach.

- Myślałam, żebyśmy pojechały jutro, twoim samochodem - przyznała się. - I raczej zaraz wrócimy.

- Nie ma sprawy! - cieszyła się koleżanka. - Jutro rano jestem pod twoim blokiem. Musisz wszystko dokładnie opowiedzieć. Że też mnie się nie zdarzają takie przygody!

Gabrysia nie podzielała jej entuzjazmu.

- To przysługa - tłumaczyła się. - Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

- Już się nie mogę doczekać szczegółów! O tym i w ogóle o wszystkim, co ci się przydarzyło w Kanadzie.

- Właściwie to nie bardzo jest o czym - łagodziła jej entuzjazm Gabrysia. - Praca jak praca.

Takie tłumaczenie nie trafiało jednak do Eweliny.

- Nie bądź taka skromnista! Przecież pamiętam, że na studiach nie było faceta, który by za tobą nie łąził!

Zaraz rano Gabrysia spakowała niewielką torbę turystyczną. Piła kawę, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi i wbiegła Ewelina, brunetka o krótkich czarnych włosach, w okularach z małutkimi szklami.

- Opowiadaj! - wołała od progu. - To taka strasznie romantyczna historia! Opowiadaj wszystko!

Gabrysia wzruszyła ramionami.

- Czemu zaraz romantyczna? Po prostu, w samolocie pewien mężczyzna poprosił mnie...

- I tak od razu się zgodziłaś?

- Poprosił mnie, żebym odszukała jego syna i przekazała mu ślubne obrączki. Ten mężczyzna miał zawał i zabrali go do szpitala. Nie widział syna od dzieciństwa, zależało mu, żeby się z nim na nowo poznać, pogodzić, rozumiesz.

- Czemu wybrał akurat ciebie? Nie powiesz mi chyba, że to przypadek?

- Siedzieliśmy obok siebie. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Koleżanka wysłuchała opowieści Gabrysi z wypiekami na twarzy.

- Inni to mają! - westchnęła z zazdrością. - Nie to, co ja. Tylko kłopoty z byłym mężem! W dodatku nie mogę jechać z tobą. I znowu przejdzie mi koło nosa okazja poznania kogoś naprawdę interesującego! Na takim weselu to szansa za szansą!

- Nie wybieram się na wesele - przypomniała Gabrysia.

- Ale wszystko mi opowiesz po powrocie, tak? - upewniła

się. - Zorganizuję spotkanie z dziewczynami. Teraz muszę lecieć. Tu masz kluczyki od samochodu, bak jest pełny.

- Bardzo ci dziękuję - Gabrysia uścisnęła przyjaciółkę. - Wracam najpóźniej jutro. Na pewno się obędziesz bez samochodu?

- Jasne!

Ewelina zadzwoniła po taksówkę i wybiegła zaraz, nie do-piwszy nawet kawy.

Prawie połowa drogi do Białegostoku minęła Gabrysi według planu.

Ruch nie był nawet zbyt duży, pogoda ciepła, ale niezbyt upalna i jechało się wygodnie.

Po siedemdziesięciu kilometrach uznała, że powinna zrobić przerwę w podróży i chwilę później zatrzymała się przy zajeździe „U Rafała”.

Na placu przed piętrowym białym budynkiem stało kilka aut z różnych stron kraju, w głównej sali od frontu ktoś jadł, ktoś popijał coś zimnego. Tak naprawdę postój był potrzebny Gabrysi, bo miała wielką ochotę na papierosa, a w samochodzie Eweliny nie chciała palić.

Stała przed budynkiem, zaciągając się dymem, gdy zauważyła, że coś dziwnego dzieje się z jej samochodem.

Młody, krótko ostrzyżony mężczyzna oglądał auto ze wszystkich stron. Potem podszedł, kopnął w przednią, a potem tylną oponę, zajrzał przez szybę do wnętrza.

Gabrysia rzuciła papierosa do wysypanej żółtym piaskiem popielniczki.

- Hej tam! - zawołała oburzona. - Co pan robi?

Mężczyzna nie zareagował i dopiero gdy podbiegła, odwrócił głowę. Miał nieco ponad trzydzieści lat, wysokie czoło i zapewne ładny uśmiech, gdyby zechciał się uśmiechnąć.

- Co pan robi? - powtórzyła Gabrysia z groźbą w głosie. Mężczyzna nadal oglądał opla, dotykał maski, pukał w tylne światła.

- Niech się pani nie wtrąca - rzucił przez ramię.

- Proszę natychmiast odejść! - zażądała dziewczyna. - Bo zaraz dzwonię po policję!

Przypomniała sobie, że tuż przed skretem do zajazdu widziała policyjny patrol w samochodzie stojącym na poboczu drogi. To dodało jej odwagi.

Sięgnęła do torebki po telefon, ale nieznajomy okazał się szybszy. Już dzwonił do kogoś ze swojego aparatu.

- Niech pani tu zostanie! - rzucił rozkazującym tonem, a do telefonu powiedział: - Podjedź tutaj.

Gabrysia wybrała już numer pogotowia policyjnego, ale nikt nie odbierał. Tymczasem z szosy skręcał w kierunku zajazdu granatowy policyjny polonez, zapewne ten sam, który dopiero co widziała na poboczu. Wrzuciła telefon do torebki i zamachała gwałtownie.

Radiowóz podjechał i zatrzymał się o dwa kroki.

- Chce mi ukraść samochód! - wydyszała do człowieka w mundurze, który wysiadł zza kierownicy.

Sierżant spojrzał na nią zaskoczony. Przeniósł spojrzenie na stojącego obok mężczyznę.

- To ona? - zapytał.

Krótko ostrzyżony skinął głową. Człowiek w mundurze wyciągnął rękę.

- Proszę okazać dokumenty.

Gabrysia Kubacka jęknęła. Człowiek, którego brała za złodzieja, także okazał się policjantem i obaj chcieli się dowiedzieć, skąd ma ten samochód.

- Nie ukradłam! - syknęła. - To pomyłka! Koleżanka mi pożyczyła.

Trzęsącymi się z oburzenia rękami odszukała w torebce dokumenty wozu i swój paszport.

Oglądali go obaj, porozumiewając się spojrzeniami.

- Przecież wystarczy zadzwonić - odpowiedziała Gabrysia. Policjant w cywilu zwrócił jej paszport i prawo jazdy.

- Jeszcze dowód rejestracyjny - przypomniała. Krótko ostrzyżony włożył dokument do kieszeni kurtki.

- Przykro mi - powiedział tonem, w którym nie było współczucia. - Ten samochód jest poszukiwany.

- Panie! - zezłościła się Gabrysia. - Przecież mówię, że go pożyczyłam od Eweliny Marciniak. Poza tym spieszę się, bo jadę na ślub.

Policjant pokręcił głową.

- To pani się myli - zauważył spokojnie. - Auto nie należy do Eweliny, tylko do Jerzego Marciniaka, bo to on spłaca raty. A Jerzy Marciniak to ja.

- I ja mam w to uwierzyć? - szepnęła gasnącym głosem. Ale już wiedziała, że wszystko się zgadza. Ewelina miała męża policjanta, a ich sprawa rozwodowa była w toku.

Marciniak pokazał jej białą policyjną legitymację z wypisanym nazwiskiem i stopniem służbowym.

- Ale ja jadę na ślub! - jęknęła z rozpaczą. - Jak mi pan zabierze auto, to co zrobię?...

Mundurowy okazał więcej współczucia.

- Możemy panią kawałek podrzucić - zaofiarował się. - Daleko to?

- Koło Supraśla.

- Gdzie ta Supraśla? - dociekał sierżant, spoglądając na zegarek.

- Supraśl - poprawiła. - Koło Białegostoku. Policjant wycofał się ze swojego pomysłu.

- Myślałem, że to gdzieś blisko... Do Białegostoku nie możemy pojechać.

Cywil wystawił już jej torbę z bagażnika, zapytał, czy nie zostawiła czegoś jeszcze, a gdy zaprzeczyła, wsiadł do swojego wozu.

- Na pewno sobie pani poradzi - rzucił na pożegnanie. - Ewelina wspominała o pani. Jaka to pani przebojowa.

- Wypożyczalnia samochodów? - Kobieta z zajazdu zrobiła wielkie oczy na pytanie Gabrysi.

Najpewniej widziała wszystko przez okno sali i teraz zastanawiała się, czy powinna być wobec Gabrysi uprzejma, czy może opryskliwa.

- Na pewno jest jakaś w Białymstoku.

- Muszę się tam szybko dostać. Może mi pani pomóc? Kobieta zmarszczyła brwi.

- To łatwe - powiedziała. - Niech pani poprosi kogoś o podrzucenie.

Ale to wcale nie było łatwe. Przynajmniej tego dnia. W zajeździe było tylko kilkoro podróżnych, akurat na dwa samochody, i oba jechały w kierunku dokładnie przeciwnym, do Warszawy.

Gabrysi nie zostało nic innego, jak czekać albo wyjść na szosę i próbować złapać coś, co jechało na północ.

Stała z torbą u nogi, machając ręką na przejeżdżające samochody. Zatrzymały się dwa. Pierwszym, osobowym audi, przejechała dwadzieścia kilometrów. Kierowca usiłował ją poderwać, nawymyślała mu, więc ją wywiózł gdzieś w boczną drogę i straciła moc czasu na powrót do głównej szosy. W dodatku rozładował się jej telefon. Do Białegostoku dowiozła ją w końcu kobieta prowadząca półciężarówkę wypełnioną warzywami. Jeździła ostro, przeklinała jak rasowy kierowca, paliła papierosa za papierosem i zatrzymywała się cztery razy dla załatwienia jakichś interesów, a Gabrysi nie pozwalała wysiąść.

- Wypożyczalnia? Pewnie, że wiem, gdzie jest wypożyczalnia samochodów.

Zanim tam jednak dotarli, zrobiło się późno. Pani kierowca obiecała podwieźć Gabrysię na właściwe miejsce.

- Byłaś już kiedy w Białymstoku? - interesowała się. - Nie byłaś? No to sama nie trafisz. Tylko stracisz czas na szukanie. Ja zawiozę, to będzie szybciej.

Ale szybciej nie było. Ostatecznie stanęły w mieście o piątej po południu i Gabrysia nie zdążyła przed zamknięciem salonu samochodowego.

Dobrze, że chociaż hoteli nie zamykają tak wcześnie. W śródmiejskim „Crystalu” znalazła się umordowana do granic możliwości. Starczyło jej tylko siły na kąpiel i telefon do właścicielki zarekwirowanego auta.

- Jak to zabrał samochód?! - darła się do słuchawki Ewelina Marciniak. - Jak mogłaś mu na to pozwolić!

Gabrysia tłumaczyła się znużonym głosem. Że zaskoczenie, policja, dokumenty, klucze.

- Chamidło jedno! - krzyczała Ewelina pod adresem byłego męża. - Polował, aż upolował. Że też mnie nie było z tobą, cholera!

Nie tłumaczyła przyjaciółce sytuacji, bo co tu więcej tłumaczyć.

- Sorry, kochana - powiedziała na koniec. - Widzisz, jacy są faceci!

- W porządku - powiedziała Gabrysia. - Jakoś sobie poradziłam. Jestem już w Białymstoku i rano jadę na miejsce.

Potem leżała w wielkim podwójnym łóżku.

- Tylko spokojnie - powtarzała półgłosem. - Tylko spokojnie.

Nic się przecież nie stało. Jedynie zabrali mi samochód, jakiś bu-bek chciał mnie zgwałcić i cały dzień straciłam na przejechanie dwustu kilometrów. Nic gorszego nie może mnie już spotkać.

4

Pracownik wypożyczalni samochodów był kompetentny i bardzo uprzejmy. Poradził wybór czerwonego renaulta laguna, wydrukował umowę, pokazał Gabrysi dalszą drogę na mapie.

- Trzeba jechać na Krynki - powiedział z typowym wschodnim zaśpiewem. - Prosto jak sierpem rzucił. Wszystkiego piętnaście minut. Z Supraśla droga gruntowa w prawo do Krzemionek. Jak mi się zdaje, skręt zaraz za zabytkową cerkwią. Widziała już pani? Nie? Oj, to koniecznie trzeba się zatrzymać!

Podziękowała uśmiechem.

Przez dobre pół godziny kręciła się po mieście, zanim wyjechała na właściwą drogę. Ale gdy już odnalazła kierunek, uspokoiła się i uświadomiła sobie, że wcale nie musi tak gnać, bo ma przed sobą tylko kilkanaście kilometrów.

Zwolniła, co pozwoliło jej cieszyć się malowniczym krajobrazem za oknem, drogą pośród wiekowych sosen, licznymi bocianimi gniazdami na mijanych domostwach.

I to powietrze. To wspaniałe wiejskie powietrze!

Ledwo kilka minut jazdy od dużego miasta przyroda wydawała się zupełnie dzika. Teren lekko pofałdowany, niewielkie miejscowości, drzewa rozłożyste i bardzo wysokie.

Supraśl okazał się urokliwym, zalanym słońcem miasteczkiem, pełnym ciekawych stuletnich chałup, bruku na krętych uliczkach i wszechobecnych lip, kwitnących właśnie i rozsiewających bardzo intensywny zapach.

Droga na Krzemionki zaczynała się zaraz za wysokim ogrodzeniem prawosławnego monasteru, którego dachy widziała już z daleka.

Upewniwszy się, że dalsza droga jest prosta, Gabrysia zatrzymała samochód na poboczu, na wprost wieży z kutą w żelazie bramą, i poszła przez nią ku świątyni.

Historyczna ceglana cerkiew, obszerna i wysoka, z małymi okienkami w grubych murach, była całkowicie otoczona rusztowaniami. Właśnie ją rekonstruowano, według tablicy pochodziła z piętnastego wieku.

Niegdyś stanowiła główny punkt wielkiego założenia architektonicznego, a gospodarujący tu przez wieki zakon bazylianów był bardzo sławny i bardzo bogaty.

Ze sklepiku umieszczonego w wieży dochodziła monumentalna muzyka cerkiewna i Gabrysia Kubacka weszła tam na chwilę, żeby kupić jakąś pamiątkę.

Gdy wychodziła z płytą zawierającą pieśni w wykonaniu męskiego chóru a radośnie chwaliące Zmartwychwstanie, natknęła się na jednego z zakonników, bo klasztor przed kilku laty został reaktywowany. Mnich miał długie włosy i ogromną brodę. Spod czarnego habitu, ściągniętego skórzanym paskiem, wystawały mu nogawki dżinsów.

Tanecznym krokiem szedł przez dziedziniec, uśmiechnął się do młodej, ładnej kobiety.

Drogowskazy okazały się jednak niezbyt dokładne.

Gabrysia trochę nadrobiła drogi, bo nie skręciła w lewo w odpowiedniej chwili i pojechała kilka kilometrów dalej niż powinna, musiała zawrócić, a potem rozpytać o Krzemionki.

W malutkiej, urokliwej wiosce, z ogródkami od frontu, pełnymi malw i innych kwiatów, wypełnionej zapachem sosnowego lasu, panowała letnia, upalna cisza, w której słychać było tylko brzęczenie pszczół.

Przed jednym z parterowych budynków na skraju wsi, pod rozłożystą gruszą zobaczyła cztery stoliki, zbite z grubych desek. Napis nad drzwiami głosił, że „Bar u Zinaidy” serwuje miejscowe specjały: kartacze, ziemniaczaną kiszkę i zimne piwo. Dziewczyna zaparkowała samochód po drugiej stronie szosy, na obszernym poboczu, gdzie było dość cienia. Przy jednym ze stolików siedziała grupka starszych Niemców z gołymi łydkami, spierających się o coś łagodnymi głosami. Tuż obok, oparte o grubaśne sosny, stały ich rowery. Właśnie przerwa w ich podróży dobiegła końca, dopili piwo z jednorazowych plastikowych kubków, wstali i dosiedli swoich pojazdów.

Jakaś zażywna kobieta wyszła z baru ze ścierką w ręku i wzięła się do wycierania stołów.

- Dzień dobry. - Gabrysia zatrzymała się przy świeżo wytartym blacie. - Czy można?

Kobieta podniosła głowę i zaprosiła gestem.

- Dzień dobry - odpowiedziała z silnym wschodnim akcentem. - Niech siada. Zje coś czy tylko będzie piła?

Gabrysia zajęła miejsce i wychyliła się, żeby poprzez liście gruszy odczytać nazwy potraw wypisane na tablicy przy drzwiach.

- Chciałabym spróbować czegoś miejscowego... Może tych kartaczy... Gospodyni kiwnięciem głowy potwierdziła przyjęcie zamówienia.

- Zaraz zrobię. Ile zje?

Gabrysia z niepokojem spojrzała na kobietę.

- A właściwie co to takiego?

- Kartacze? - upewniła się tamta.

- Kartacze.

- Kartacze to kluski - wyjaśniła gospodyni. - Lepszych na świecie nie znajdzie!

Takiej zachęty nie można było zlekceważyć.

Drugim miejscowym specjałem była kiszka ziemniaczana i choć brzmiało to interesująco, Gabrysia nie zaryzykowała zamówienia.

Ziemniaki nie najlepiej służą dzieci.

- Bardzo to kaloryczne? - zaniepokoiła się nagle. Kobieta ujęła się pod boki.

- Znaczy, czy pożywne? - zapytała. - O, jeszcze jak pożywne! To ile zrobić? Gabrysia rozejrzała się niepewnie, ale nie było nikogo, kto mógłby rozwiać jej wątpliwości.

- Sama nie wiem... Jedną porcję.

- Znaczy dwa sztuki - podsumowała gospodyni, a zanim skierowała się do baru zapytała jeszcze Gabrysię, czy podać piwo.

- Raczej nie - odmówiła dziewczyna z uśmiechem. - Jadę samochodem.

Kilka minut siedziała w przyjemnym chłodzie, słuchając brzęczenia owadów i ptasich głosów dochodzących z pobliskiego lasu. Nawet papieros smakował tu zupełnie inaczej.

Gospodyni przyniosła na plastikowym talerzu dwie kluchy

wielkie jak pięść, okraszone skwarkami i polane tłuszczem. Kluchy miały stalowy kolor i Gabrysia domyśliła się, że są z ziemniaków. Pachniały tak interesująco, że na chwilę zapomniała o dziecie.

Kobieta postawiła talerz na stole, drugą ręką podała jednorazowe sztućce i uśmiechnęła się z życzliwością.

- Niech je na zdrowie!

Gabrysia spróbowała ostrożnie, a potem nie mogła się powstrzymać przed zjedzeniem całej porcji, choć kluski rzeczywiście były z utartych ziemniaków i nadziano je mięsem. Ale okazały się tak delikatne, że wprost rozpląwały się w ustach. W dodatku kosztowały tylko osiem złotych.

- Mówiła, że będą smakowały! - ucieszyła się gospodyni, która nadeszła w momencie, gdy talerz został opróżniony.

- Wspaniale! - pochwaliła Gabrysia. - Nie spodziewałam się, że mogę zjeść aż tyle. W zasadzie to wcale nie jem ziemniaków, ale teraz nie mogłam się wprost powstrzymać.

Gospodyni z zadowoleniem pokiwała głową. Kluski były specjalnością jej kuchni i czuła się z nich dumna.

- A pewno! - przytaknęła. - Może jeszcze zje?

- O, nie! - zawołała Gabrysia. - Chyba bym pękła! Gospodyni spojrzała współczująco. - Takie chucherko? - zapytała z niedowierzaniem. - Moja Re-natka to potrafi i sześć zjeść za jednym zasiadem.

Podany przykład był mało zachęcający. Gabrysia wyobraziła sobie Renatkę jako wysoką, postawną grubaszkę, w razie potrzeby gotową siłować się nawet z tutejszymi puszczańskimi niedźwiedziami.

- A wczoraj... - dodała gospodyni. - A wczoraj to nawet zjadła osiem! Zanim Gabrysia dała wyraz swojemu zdumieniu, kobieta usprawiedliwiła córkę głośnym westchnieniem.

- Ale i nie dziwota! Takie nieszczęście!...

Gabrysia sięgnęła do torebki po pieniądze, pani Zinaida za-inkasowała należność i dorzuciła dodatek:

- Niech jej pójdzie na zdrowie. Może jej nikt tak nie zrobi, jak mojej Renatce)

W tej sytuacji Gabrysia Kubacka była zmuszona zapytać o nieszczęście, jakie dotknęło córkę gospodyni.

- Zostawił dziewczynę i tyle - odpowiedziała. - A tu wszystko gotowe. Wódka kupiona, świniaka my zaszlachtowali. Opłacone swmła w kościele, zadatkowana muzyka i wszystko jak najlepsze. I kto by pomyślał?! Taki dobry chłopak! Taki robotny. Sama nie wiem, co jemu się w głowie przekreśliło. Toż ona jego kocha! Dla niego przeszła z naszej wiary do ich. Bo my prawosławni - wyjaśniła.

Światełko zapaliło się w głowie Gabrysi Kubackiej.

- Renata? - zapytała. - Pani córka ma na imię Renata? A ta wiesz nazywa się Krzemionki?

- A jakże - potwierdziła kobieta. - Już przecież mówiła.

- A ślub miał być w Supraślu, w nowym kościele? Teraz zdziwiła się gospodyni.

- To pani wie? Pewnie zna Renatkę? Koleżanka ze studiów może?

- Raczej nie - zaprzeczyła Gabrysia. - A co ona studiowała?

- Psycho... psycholie albo jakoś tak... Wie, takie od wychowania. A ona, jak nie koleżanka, to skąd zna?

Gabrysia naprędce wymyśliła wiarygodne wytłumaczenie.

- Koleżanki mówiły mi o Renacie - skłamała. - Wiedziały że jadę w te strony, i prosiły ją pozdrowić, gdybyśmy przypadkiem się spotkały...

Bardzo jej zależało, żeby pani Zinaida uwierzyła w te bajeczki, bo chciała dowiedzieć się więcej.

- Przepraszam, nie znam nazwiska... Ale ten chłopak Renaty, narzeczony, czy przypadkiem ma na imię Janusz?

Gospodyni uwierzyła, że rzeczywiście ma do czynienia ze znajomą córką.

- Janusz - potwierdziła.

Widać jednak nie uwierzyła do końca, bo nagle zapytała podchwytliwie:

- A Janusza zna? Gabrysia pokręciła głową.

- Też tylko ze słyszenia - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - I odobno wartościowy chłopak.

Pani Zinaida wzruszyła ramionami.

- Co z tego, że wartościowy? Widzi, co on jej zrobił?

- A co się właściwie stało?

- Wszystko się stało - westchnęła gospodyni. - Ślub odwołał.

- Och, może nie wszystko jest stracone - pocieszała Gabrysia. - Zdarza się przecież, że młodzi sprzecząją się między sobą nawet przed ołtarzem. Może on jeszcze wróci.

Pani Zinaida nie miała na to wielkiej nadziei.

- Jakby miał wrócić, to pewnie by już był. Tydzień, jak się posprzeczało. Powiedział, że jego noga więcej tu nie postanie. Szkoda. Wielka szkoda! To taki dobry chłopak. I przystojny!

W torebce Gabrysi Kubackiej znajdowało się potencjalne lekarstwo na zmartwienia pani Zinaidy. Pudełeczko z obrączkami od pana Aleksa Domino mogło okazać się cudownym lekiem.

Wstała energicznie od stołu.

- Mogłabym pomówić z Renatką? - zapytała. - Gdzie ją znajdę? Gospodyni wzruszyła ramionami.

- A gdzieżby miała płakać, jak nie w domu? W domu płacze.

5

Od ulicy była furtka w niskim drewnianym ogrodzeniu, dalej ścieżka przez ukwiecone podwórze wprost do drzwi solidnego, piętrowego domu, o ścianach wyłożonych geometrycznymi wzorami z potłuczonego szkła. Pomiędzy balkonem a szerokim oknem widniał talerz anteny satelitarnej.

Na dzwonek przy drzwiach nikt nie odpowiedział, tylko gdzieś za budynkiem zaszczekał pies.

- Halo! - zawołała Gabrysia Kubacka.

Utwardzona ścieżka zaprowadziła ją na drugą stronę domu. Za nim widać było po lewej ręce obszerny garaż i chyba warsztat, po prawej ogród, a najbliżej domu poletko truskawek. Jakaś kobieta w letniej żółtej sukience chodziła pomiędzy grządkami z koszyczkiem w ręku.

- Dzień dobry. Szukam pani Renaty.

Kobieta wyprostowała się, założyła koszyczek na przedramię.

- Słucham.

Gabrysia zdziwiła się. Renata wcale nie wyglądała na potwo-

ra. Średniego wzrostu, szczupła, zgrabna. Miała krótkie brązowe włosy, miłą twarz.

- Pani mama mnie przysłała - wyjaśniła Gabrysia. Renata wykonała zachęcający ruch dłonią w kierunku domu, do cienia. Na poletku ostro świeciło słońce.

- Właśnie zbieram - powiedziała, wskazując koszyczek. - Proszę poczekać, to potrwa dwie minutki. Ile pani potrzebuje?

Gabrysia Kubacka zaprzeczyła gestem.

- Nie przyszłam po truskawki. Jestem tu przejazdem i przywiozłam dla pani pozdrowienia... Młoda kobieta była zaskoczona. Podeszła szybkim krokiem, odstawiła koszyczek na drewnianą ławkę pod domem, nie odrywając wzroku od twarzy gościa. - Od kogo te pozdrowienia?

- Od pana Aleksandra Domino. Z Toronto.

Iskierki zainteresowania w oczach Renaty przygasły, jakby nie na takie pozdrowienia czekała. Oplukała dłonie pod kranem, wychodzącym wprost ze ściany budynku.

- Dziękuję - odpowiedziała krótko. - Wiem, kto to jest. Ale chyba to trochę nieaktualne...

Mimo tego oświadczenia nie wyglądała na szczególnie zmartwioną tym, że jej ślub został odwołany. Może zresztą martwiła się inaczej, niż to sobie wyobrażała jej matka. Albo liczyła, że wszystko się jeszcze ułoży.

- Pani go dobrze zna? - zapytała Gabrysię. - Ja nigdy nie widziałam.

Dawno pani przyjechała z Kanady?

- Przed kilkoma dniami. Pan Domino...

Renata podniosła nagle rękę, dając znać, żeby przerwały rozmowę.

Gestem pokazała otwarte wejście do kuchni w suterenie i poszła przodem. Z kuchni prowadziła schodami na piętro, do wielkiego, jasnego pokoju, zapewne spełniającego funkcję salonu. Stały tu wielkie, solidne meble, na podłodze leżały dywany, nad stołem wisiał ogromny kryształowy żyrandol. - Sąsiedzi - wyjaśniła swoje zachowanie Renata. - Sąsiedzi lubią za dużo wiedzieć, jak to na wsi. Posadziła gościa na skórzanej kanapie, zaproponowała herbatę lub kawę, ale Gabrysia poprosiła tylko o wodę.

Siedziała nieco sztywno ze szklanką w dłoni i zastanawiała się, jak powinna poprowadzić tę rozmowę.

- To może wyglądać na wtrącanie się - zaczęła. - Ale to czysty przypadek. Lecieliśmy razem do Polski i...

Renata aż zerwała się z miejsca.

- Przyleciał? - zapytała z niedowierzaniem. - Ojciec Janusza przyleciał?

- W środę. Mówił, że wybiera się na wasz ślub, przygotował nawet specjalny prezent...

Renata była bardzo przejęta.

- Naprawdę? Obrączki? Obiecywał Januszowi, że przyśle obrączki. Nie dowierzaliśmy i kupiliśmy własne...

- Przysłał. - Gabrysia wyjęła z torebki pudełeczko z prezentem Aleksa Domino i otworzyła je.

- Jezu! - jęknęła Renata. - Jakie piękne!

Gabrysia nie widziała w złotych krążkach nic nadzwyczajnego, ale rozumiała, że dla panny młodej mają szczególne znaczenie.

Pozwoliła, żeby Renata obejrzała je z bliska, ale dziewczyna nie zdecydowała się przymierzyć tej, która była przeznaczona dla niej.

- Piękne - powtórzyła, a potem spojrzał na Gabrysię z niepokojem. - Zaraz! Czemu są tutaj? Czemu ojciec Janusza sam nie przyjechał?

Gabrysia już wcześniej miała przygotowaną odpowiedź. Wiedziała przecież, że będzie to pierwsze pytanie, jakie zada syn Aleksa Domino i jego narzeczona. Czemu ojciec sam nie przywiózł obrączek.

- Drobną niedyspozycją - wyjaśniła. - Miał pewne kłopoty z aklimatyzacją. Poprosił mnie, żebym przywiozła to państwu, skoro i tak miałam jechać w tę stronę. W ten sposób chciał dać znać, że się wywiązał ze swojej obietnicy...

Renata wysłuchiwała nieco nieskładnej opowieści Gabrysi. W tej historii prawie wszystko było prawdziwe. Alex Domino nie przyjechał, nie chcąc młodym sprawić kłopotów w tak ważnym dla nich dniu.

Oczywiście, jak tylko stanie na nogi, to znaczy, jak się tylko zaaklimatyzuje, to natychmiast...

Renata siedziała na skórzanym fotelu naprzeciw gościa, w zamyśleniu patrząc na otwarte etui stojące na środku niskiego stoliczka.

- Wiesz... - powiedziała po chwili. - Myślałam, że trochę znam facetów.

Cała ta psychologia jest psu na buty! O, przepraszam, że tak tykam.

- W porządku. Jestem Gabi. Gabrysia.

- Renata. Matka ci pewnie zdążyła już się poskarżyć, co? Zresztą, wszyscy dookoła wiedzą. Mówią, że mnie zostawił. Ale to nie jest do końca prawda, bo to raczej ja jego... Poszło o dzieci.

Gabrysia zadziwiła się swoją naiwnością. Od początku czuła, że to wszystko jest za piękne, żeby było prawdziwe. Alex Domino najwyraźniej idealizował syna.

- Nie wiedziałam, że ma dzieci.

- Nie ma - zaprzeczyła Renata. - Mówię o dzieciach hipotetycznych, potencjalnych. Jakoś tak było, że nie rozmawialiśmy wcześniej o takich sprawach. Ustaliliśmy tylko, że będziemy mieszkać tutaj, ale najwyżej rok, a potem przeprowadzimy się do miasta. Rozumiałam, że na razie nie ma mowy o dzieciach, bo przecież dopiero skończyłam studia i w ogóle nie zamierzamy zostawać na wsi. A on powiada, że zawsze marzył o dzieciach i że powinniśmy przemyśleć sprawę miejsca zamieszkania. Bo on wolałby mieszkać w domu po ciotce. Dostał lekkiego odbicia na tle swojego tatarskiego pochodzenia. Żebyś ty widziała tę przedpotopową chałupę! To się wściekłam, bo skoro wcześniej zostało ustalone, to po co to zmieniać? I tak od słowa do słowa...

- Och, to chyba nic wielkiego - wtrąciła Gabrysia. - Przecież o tych sprawach nie musicie decydować już teraz i na pewno znajdziecie jakieś rozwiązanie...

Renata pokręciła głową.

- To była całkiem poważna sprzeczka - powiedziała. - Rozwaliłam mu nos. Gabrysia Kubacka spojrzała z niedowierzaniem. Ta nieduża, drobna dziewczyna ma aż taki temperament?

- To nie było specjalnie - wyjaśniła tamta. - Ale sama rozumiesz, jak bardzo się poczułam rozczarowana i zawiedziona. Powiedział, że powinnam go przeprosić na kolanach, a ja, że mi prędej kaktus na dłoni wyrośnie. Moja matka chyba się spodziewa, że coś z tego jeszcze będzie, ale ja nie mam wielkiej nadziei...

- Może wystarczy spotkać się i wszystko sobie wyjaśnić. Jesteście oboje dorośli i na pewno dojdziecie do kompromisu.

Renata spojrzała na swoje palce.

- Nikomu tego nie mówiłam - przyznała się po chwili. - Ale

w jakimś sensie jestem zadowolona. Bo wiesz, nagle uświadomiłam sobie, że może nie powinnam jeszcze wychodzić za mąż. Chyba nie jestem do końca gotowa. To Janusz mnie przekonał, że powinniśmy sformalizować nasz związek, bo znamy się już ponad trzy lata i w ogóle... Ale wcale nie jestem pewna. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale kiedy zadałam sobie pytanie, czy jestem gotowa ze wszystkiego zrezygnować, to odpowiedź nie była do końca jasna. Chyba się pospieszyłam z tą zgodą. Trzeba to było odłożyć do Bożego Narodzenia albo nawet jeszcze dalej, zastanowić się, przemyśleć. Mam przecież dopiero dwadzieścia cztery lata, chyba nie muszę lecieć od razu do ołtarza... Gabrysia potaknęła ostrożnie.

- Jest w tym pewna racja - przyznała. - Skoro od dawna się znacie, sprawa ślubu jest taka bardziej formalna. Jakoś się w końcu wyjaśni. A że twoja mama martwi się, co ludzie powiedzą, to też normalne. Bo wszystko przygotowane do ślubu, goście zaproszeni, niemałe wydatki... Renata tym akurat przejmowała się najmniej.

- Niewiele się zmarnuje - zauważyła spokojnie. - Zamówienia nie zostaną po prostu na razie zrealizowane. Będą jak znalazł na następny termin. O ile, oczywiście, ten nadejdzie, zanim zbrzydnę i się zestarzeję. Ale to Janusz musi pierwszy zadzwonić. To warunek. - Wstała z fotela. - Zostaniesz na kawie? Tak mi się fajnie z tobą gada! Opowiesz mi o ojcu Janusza.

Gabrysia zawahała się. Niepokój, jaki jej dokuczał przed rozmową z Renatą, już się ulotnił.

- Kawy się chętnie napiję - przytaknęła. - Ale co do pana Aleksa, to sama nie wiem... Znam go bardzo słabo, mówiłam, że tylko tyle co z samolotu.

- Ja go nie znam wcale - przypomniała Renata.

6

Gabrysia jechała samochodem na północ. Było późne popołudnie, słońce świeciło już wysoko, pachniało sosnowe igliwie.

- Rany! - mrucała pod nosem. - Na stare lata zostałam posłańcem!
Dobrze chociaż, że to autko zachowuje się tak przyzwoicie!
Na fotelu obok leżała jej torebka, w której ciągle znajdowało się
pudełeczko z obrączkami, a także stała łubianka wypełniona
truskawkami.

Renata nie przyjęła obrączek od przyszłego teścia, za to nazbierała
truskawek.

- Nie mogę ich wziąć - stwierdziła. - Janusz pomyśli, że go zmuszam
albo coś. Poza tym obiecałaś jego ojcu, że to jemu je wręczysz. Czy
przyjedzie z nimi do mnie, to inna sprawa.

- Przyjedzie, przyjedzie - powiedziała Gabrysia.

Była tego prawie pewna. Po długiej rozmowie z Renatą doszła do
wniosku, że jej nieporozumienia z narzeczonym są chwilowe i dadzą się
załagodzić. Renata tylko przed nią udawała taką nieustępliwą. Gabrysia
pamiętała, z jakim przejęciem Renata opowiadała o Januszu i jakim
wzrokiem zerkąła na obrączki. Znali się od trzech lat i cały czas
planowali, że będą razem. Zwyczajna kłótnia zakochanych, która
wkrótce zakończy się czułymi przeprosinami.

- To niedaleko - wyjaśniła Renata. - Mniej niż czterdzieści kilometrów.
Pojedziesz tam, wręczysz mu przesyłkę od ojca. Na pewno będziesz mu
mogła o nim więcej powiedzieć niż ja, to w końcu ty rozmawiałaś z
panem Alekssem. Janusz bardzo chciał zobaczyć ojca, bardzo do niego
tęsknił. Napisał ten list właściwie za moją namową i bez nadziei na
odpowiedź. Żebyś ty widziała, jaki był szczęśliwy, że się stary
odnalazł... Gabrysia była więc w drodze i spodziewała się zakończyć
swoją misję już za kilkadziesiąt minut. Odda obrączki, opowie to i owo,
i szybko się ewakuuje. Nazwa Kruszyniany niewiele jej mówiła, poza
niejasnym hasłem zapamiętanym ze szkoły - Szlak Tatarski.

Według mapy nie można było tam trafić bezpośrednio z Krzemionek,
przez puszcę nie było dostatecznie dobrych dróg. Należało zawrócić do
Supraśla, pojechać na wschód do Krynek, a stamtąd wprost na południe,
wzdłuż granicy białoruskiej.

Drogę Renata pokazała na mapie.

- W Kruszynianach łatwo znaleźć - zapewniała. - Trzeci dom po prawej
stronie. Malowane okiennice.

- Okiennice? - zdziwiła się Gabrysia. - Kto dzisiaj ma okiennice?

- Janusz ma. To stary dom, właściwie zabytek. Dostał w spadku po ciotce. Do tego kawał ziemi. Ale jaki to dzisiaj interes, ziemia?

Gabrysia nie pojechała na Krynki, ponieważ zaufała znakom drogowym wiodącym na południe, a wyliczyła sobie, że tak będzie szybciej. Znaki kierowały ją na Szlak Tatarski, przez Królowy Most ku granicy państwa. Z każdym kilometrem żałowała jednak wyboru tej trasy, trzęsąc się w samochodzie na bazaltowej kostce, by wreszcie w Bobrownikach skrócić na północ. Z pogranicznego miasteczka do Kruszy-nian, gdzie mieszkał Janusz Domino, było wszystkiego dziewięć kilometrów.

Te dziewięć kilometrów, wiodących zakurzoną gruntową drogą najpierw przez pola, potem las, pola i znowu las, z każdą minutą przenosiło Gabrysię w inną, znacznie starszą epokę.

Zaczęło się już wcześniej, dzięki urokliwym kolorowym cerkiewkom o cebulastych dachach, dzięki drewnianym wiatrakom, a skumulowało przy wjeździe do Kruszy-nian.

Przez wieś wiodła brukowana ulica, idąca lekkimi zakosami pomiędzy starymi rozrosłymi lipami, a po obu stronach drogi stały stare drewniane chałupy liczące po sto i więcej lat, a głębiej wiekowe zabudowania gospodarcze.

Gabrysia patrzyła jak urzeczona. Kryte poczerniałymi dachówkami chaty, niewielkie okna z rzeźbionymi okapami, barwne okiennice, podwórza ogrodzone drewnianymi płotami, bocianie gniazda na dachach i dym unoszący się z przekrzywionych kominów. I zielone ściany malutkiego meczetu, z wieżyczką zwieńczoną półksiężycem.

Jakby znalazła się nagle w XIX wieku albo w jeszcze odleglejszych czasach.

Bruk szumiał pod kołami w specyficzny sposób, a Gabrysia patrzyła zafascynowana w kolejne podwórza, na studnie z żurawiem, dachy kamiennych piwnic, wystające wprost z ziemi.

Wielki żółty ciągnik wyjechał nagle nie wiadomo skąd. Bez żadnej zapowiedzi i sygnałów, bez żadnego ostrzeżenia, wielkimi przednimi kołami uderzył w bok renaulta.

Auto odskoczyło, zatańczyło na ulicy, dziewczyna nie zdąży-

ła nic zrobić, gdy rzuciło ją na przeciwną stronę wąskiej drogi i odwróciło tyłem do kierunku jazdy. Szkło sypnęło się na bruk. Krzyknęła, próbowała zapanować nad pojazdem, zatrzymać wirowy ruch, w jaki wpadł, zahamować, stanąć. Odruchowo spojrzała w perspektywę ulicy, by stwierdzić, że na szczęście nic nie jechało w kierunku miejsca zderzenia, bo gdyby jechało...

Odwróciła się, by zobaczyć, że i traktor, choć wielki, nie zatrzymał się od razu, a prowadzący go człowiek, zapewne pijany, usiłuje go zatrzymać.

Już drugi raz w ciągu dwóch dni Gabrysia znalazła się w poważnych kłopotach za sprawą samochodu. Wcześniej, przez pół roku w Kanadzie, gdzie za kierownicą spędzała po kilka godzin dziennie, nie miała ani jednej kolizji, ani jednego mandatu czy pouczenia.

Teraz, przestraszona, zaszokowana, zmęczona podróżą, dostała ataku furii.

Szarpnęła pasy, szarpnęła drzwi, wypadła na bruk i rzuciła się biegiem w kierunku ciągnika.

- Ślepy jesteś?! - wydarła się na traktorzystę. - To ulica, nie obora! Mężczyzna właśnie wyłączył silnik i zeskoczył na ziemię. Też był wystraszony, ale od razu odparł atak.

- A pani co?! - warknął. - Jak sprzedawali prawo jazdy, nie nauczyli czytać znaków drogowych?

Gabrysia spojrzała za jego ręką i zobaczyła znak nakazujący zatrzymać się przed wjazdem na skrzyżowanie. Prawda, że częściowo nie był widoczny, młode odrosty lip przesłaniały tablicę, ale jednak był tutaj jak wół. Kolejne wyzwiska zamarły jej nagle w gardle. Mężczyzna miał rację, wina leżała po jej stronie. Przynajmniej według przepisów ruchu drogowego. Nieznajomy, młody, nieogolony mężczyzna o mocnej szczęce, zmarszczył nagle brwi, a jego głos złagodniał.

- Jest pani ranna?

Zaskoczona pytaniem Gabrysia Kubacka zerknęła na swoją bluzkę, poplamioną wyraźnie w dwóch miejscach.

- Odwal się! - syknęła. - To truskawki!

Mężczyzna wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do niej był już zupełnie spokojny. Lekko wycofał traktor na pobocze,

żeby nie blokować drogi. Teraz podszedł do samochodu Gabry-si, obejrzał wybitą przednią szybę i porysowane drzwi.

- Nieźle - ocenił. - Dwadzieścia starych baniek jak nic. Podskoczyła ku niemu.

- To wcale nie moja wina! - broniła się. - Powinnam się zatrzymać, ale i pan powinien wiedzieć, że należy zachować ostrożność. Kto to widział jeździć czymś takim po drodze dla ludzi!

Mężczyzna odwrócił się do niej i bez pośpiechu popukał się palcem w czoło.

- Pani ma kręcka - powiedział spokojnie. - Droga jest dla pojazdów.

- Nie dla rolniczych! - upierała się.

- A gdzie to jest napisane?

- W kodeksie!

Była zła jak osa. Mieć tyle przygód samochodowych w dwa dni, to znaczy mieć wielkiego, okropnie wielkiego pecha.

- Baran! - warknęła w kierunku ciągnika.

- Blondynka! - odrzucił natychmiast jego kierowca.

Gabrysia sięgnęła do samochodu po telefon. Chciała natychmiast zadzwonić po pomoc drogową, może do wypożyczalni albo może na policję. - Za późno - stwierdził pewnym tonem mężczyzna. - Dziś nikt tu nie przyjedzie.

Zawahała się. Policja stwierdzi jej winę i tyle. Po co się spieszyć, skoro jeszcze nie wymyśliła odpowiedniego tłumaczenia. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

- No to mnie pan załatwił! To jest auto z wypożyczalni. Traktorzysta ponownie wzruszył ramionami. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę, sprane dżinsy i tenisówki. Był młody i całkiem przystojny.

- Trzeba było wypożyczyć ciągnik - zauważył ironicznie.

- Nie spodziewałam się spotkać kogoś takiego jak pan! Silnik nie chciał odpalić i Gabrysia bezsilnie waliła dłońmi po kierownicy. To ją nieco uspokoiło. Stało się i tyle. Teraz trzeba poszukać wyjścia z sytuacji. - Jest tu jakiś warsztat? - zapytała.

Mężczyzna przytaknął ruchem głowy. - Jest.

- Daleko?

- Jak dla kogo.

- To znaczy?

- Za pani plecami.

Gabrysia obejrzała się, ale nie zobaczyła niczego takiego. Za jej plecami był płot, za płotem ogród, a za ogrodem drewniany dom.

- Nie widzę warsztatu.

- Za domem - wyjaśnił. - W mojej stodole. I proszę mi odblokować wjazd na podwórze.

Jej samochód stał właśnie tam, na wprost bramki wjazdowej.

- Nie chce zapalić - mruknęła Gabrysia, pokorniejac. Stała obok z rękami w kieszeniach.

- Zapali, zapali - powiedział. - Tylko trzeba wiedzieć, w którą stronę należy przekręcić kluczyk.

- Bardzo śmieszne!

- Raczej tragiczne - poprawił spokojnie. - Chociaż właściwie ma pani dużo szczęścia. Zwykle jeżdżę szybciej i gdybym wiedział, że jest w tym aucie ktoś tak pyskaty, dałbym gaz do dechy.

- No jasne! - odcięła się. - Gaz do dechy, a wcześniej dziesięć piw!

Silnik zapalił po kilku kolejnych próbach, auto szarpnęło, ujechało kilka metrów i znowu stanęło.

- To beznadziejne! - jęknął traktorzysta z rezygnacją w głosie. Poszedł na podwórze, przyniósł stalową linę i wziął samochód Gabrysi na hol. Prowadził ciągnik, wcale nie patrząc przed siebie. Oglądał się do tyłu i pilnował, żeby Gabrysia dokładnie wykonywała jego polecenia.

- Niech mi pani płotów nie rozwali! - przekrzykiwał hałas silnika. - I domu! Kierowca od siedmiu boleści!

Podjechała pod wielką drewnianą stodołę, zatrzymała się na znak gospodarza. Otworzył wrota, wciągnął auto do wnętrza, wyjechał tylnymi wrotami. W stodole znajdował się rzeczywiście warsztat mechaniczny, z kanałem i innymi urządzeniami, a także drobne maszyny rolnicze i trochę siana.

Gabrysia wysiadła.

- Pomoże mi pan? . Mężczyzna prychnął.

- A co ja niby robię?

Palcem pokazał sąsiedni budynek, za ogrodzeniem.

- Tam pani wynajmie pokój. Tanio i wygodnie. Rano zastanowimy się, co z tym wszystkim począć.

- Rano? - skrzywiła się Gabrysia. - Myślałam, że jeszcze dzisiaj coś się da zrobić. Przecież jest widno...

- Dziś nie mam czasu - wyjaśnił opryskliwie. - I lepiej sam zadzwonię do ubezpieczenia, bo zanim pani znajdzie numer...

Gabrysia zgodziła się bez słowa.

- Ale może przynajmniej pan zobaczy, czemu nie zapala, skoro z pana taki fachowiec.

- Pani się zdaje, że mam tu punkt pomocy drogowej?

- Ale chyba jest mi pan coś winny? Zrobił zdziwioną minę.

- Ja?! Ja jestem winny?

Chciał chyba jednak mieć kłopot z głowy jak najszybciej, bo powiedział, że ma kolegę, który wszystko załatwi po kolei. Protokoły i tak dalej.

- Inaczej nigdy się pani nie pozbędę - mruknął i przypomniał: -Jutro.

- Dzięki i za to.

Odprowadził ją w kierunku bramy.

- Piękny dom - zauważyła Gabrysia.

- Aha - przytaknął z zadowoleniem. - Mój. Drewniany budynek miał od podwórza ganek, wsparty na słupkach. Po obu stronach małych okien Gabrysia zobaczyła malowane okiennice, nad szybami kunsztownie rzeźbione okapy.

- Ma dwieście lat - powiedział gospodarz, najwyraźniej dumny ze swojej własności. - Trochę go odnawiam.

Na lewym skrzydle drzwi wisiała tablica z nazwiskiem właściciela, wypisanym na desce rozgrzanym ostrzem. Aslan Mu-rza Krzeczowski. Poniżej mniejszymi literami wypisano drugie nazwisko.

Gabrysia Kubacka jęknęła.

- Janusz Domino? Tutaj? Miał być przecież trzeci dom po prawej stronie drogi.

Mężczyzna przymrużył oczy zaskoczony. Były niebieskie.

- Jest trzeci - przytaknął po chwili flegmatycznie. - Pani wjechała od drugiej strony wsi. Od tej strony jestem jedenasty. A co w ogóle znaczy to liczenie?

Zawstydzona swoim dotychczasowym zachowaniem dziewczyna opuściła wzrok.

- Przyjechałam właśnie do pana. Janusz Domino wzruszył ramionami.
- Poważnie? Chyba jako kara za moje grzechy.

8

Walentyna Eismontowicz prowadziła gospodarstwo agroturystyczne w dużym nowym domu krytym czerwoną dachówką.

Idąc od furki z tabliczką, najpierw trzeba było minąć niską drewnianą chatę o jednym tylko oknie i wysokim progu. Drzwi do sieni były otwarte, w jej chłodzie siedział na prostym stołku bardzo stary mężczyzna. Na malutkiej głowie miał resztki zupełnie białych włosów, a małe czarne oczka spojrzały na gościa z radosnym niepokojem.

- Ja to nic nie wiem - powiedział, zanim Gabrysia zadała pytanie. - Tylko tu sobie siedzę, bo mam sto osiem lat.

W rękę trzymał packę na muchy, osadzoną na długim, cienkim trzonku. Machnął nią niespiesznie w powietrzu, a potem pokazał w głąb podwórza, gdzie widać było nowy murowany dom.

- Trzeba zapytać mojej wnuczki - poradził. Dziewczyna poszła we wskazanym kierunku i spotkała się z niską starszą kobietą, która karmiła na podwórzu stadko kur, sypiąc im ziarno z kwiecistego fartucha.

-Od pana Januszka? - powtórzyła otrzymaną informację. -No, są wolne pokoje, ale nie całkiem gotowe. Niech pozwoli, to pokażę.

Poprowadziła do domu, starannie wytarłszy na wycieraczcze bose stopy. Pokazała przestronny, jasny pokój, w pełni umeblowany, i przylegającą do niego nowiutką, błyszczącą łazienkę.

- Na długo zostanie? - dopytywała się. - Bo jak do trzech dni, to będzie po dwadzieścia pięć złotych, a jak więcej, to po dwadzieścia.
- Raczej dzień lub dwa - odpowiedziała zapytana. - Dokład-

nie jeszcze nie wiem. Samochód mi się zepsuł i muszę zostać tak długo, aż go zreperują.

- Januszek? - upewniła się gospodyni. - On to prawdziwy fachowiec.

Złota rączka. Ani się ona nie obejrzy, jak wszystko będzie gotowe.

Gabrysia też miała nadzieję, że wszystko razem nie potrwa zbyt długo.

- I obiady można zamówić - zachwalała właścicielka kwater. -

Osiemnaście złotych za wyżywienie liczymy. Cały obiad.

- Jakieś miejscowe specjały? Bardzo mi smakowały tutejsze kartacze.

Pani Eismontowicz zaprzeczyła.

- U nas kartaczy nie dostanie, bo to na świninie, a my Tatarzy, muzułmanie. Ale wszystko inne może być. Teraz to może herbaty zrobić? Sama będzie na letnisku, goście dopiero za tydzień zjadą. Z Wrocławia tu przyjeżdża małżeństwo. Bardzo kulturalne ludzie. On wojskowy, ona nauczycielka. Rok w rok przyjeżdżają o.

Gabrysia Kubacka wiedziała już, że w tym rejonie kraju żyją muzułmańskie rodziny tatarskiego pochodzenia, potomkowie tych, co osiedli tu przed trzystu czy więcej laty.

- Dużo jest tatarskich rodzin w okolicy? - zainteresowała się. Pani Eismontowicz westchnęła.

- U nas we wsi mało, bo młodych nie ma. Tylko tacy jak my. Ale w Bohonikach więcej i gdzie indziej. W Sokółce, i w Białymstoku też.

- A pan Domino? On też Tatar?

- Nie - zaprzeczyła pani Walentyna. - Siostra jego dziadka była za Tatarem, Krzeczowskim, z naszej wioski.

- Aha - wyjaśniła sobie głośno Gabrysia. » To po niej wziął gospodarstwo.

- Niby po niej - zgodziła się pani Walentyna. - Inaczej ziemia by się całkiem zmarnowała, bo kto będzie robił, jak się teraz nie opłaca. My tu już na dożywociu jakoś dociągniemy. Ale dla młodych co to za przyszłość w takich wioskach, daleko od świata?

Gabrysia знаła już podobne opinie. I sądziła, że Janusza Domino one nie dotyczą.

- Przecież ma się zenić i wyprowadzić. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Rozmaicie o tym gadają - powiedziała wymijająco. - Dokładnie nie wiem. Dobrze jego zna? On wykształcony, gdzie jemu gospodarować na roli. To chyba tylko taka zabawa tutaj? Ma dobrą pracę w Białymstoku, ale teraz wakacje. Będzie, jak Bóg da. Ale to porządny chłopak, bardzo porządny. Ze świecą takiego nie znajdzie.

Po spokojnej nocy, przespanej w wygodnym łóżku, Gabrysia wstała w dobrym nastroju.

- Koniec z pechem! - nakazała sobie, szorując zęby w łazience. - Dzień jest zbyt piękny na zmartwienia!

Zmartwienie miała za to od rana pani Eismontowicz.

- Czemu wcale nie zjadła? - zapytała zafrasowanym tonem. - Specjalnie zrobiła tako dobro jajecznicę.

- Ależ zjadłam! - broniła się Gabrysia. - Podlaskie powietrze w ogóle bardzo dobrze mi służy. Zjadłam dużo więcej niż zwykle rano.

Myślałam, że usmażyła pani dla kilku osób...

Kobieta ujęła się pod boki.

- Jakże dla kilku? Przecież mówiła, że letniki dopiero za tydzień przyjada. Gabrysia pożałowała wysiłku gospodyni i chciała zapłacić za niewykorzystany posiłek.

- Nie ma mowy! - sprzeciwiła się tamta. - Tylko co zrobić, boć jedzenia nie wyrzucę...

- A ten pan? - podsunęła Gabrysia. - Ten starszy?

- Dziadek Asłan? Toż on je jak i ona, jak wróbelek, szkoda widelca brudzić.

Szybko wpadła na dobry pomysł.

- Do Januszka idzie, tak? - upewniła się. - Do warsztatu? No, to jemu zanieście.

Nie było rady. Gabrysia poszła do sąsiada, niosąc przed sobą wielką patelnię z jajecznicą.

Furtka w bramie ogrodu była zamknięta na haczyk. Odstawiła patelnię, otworzyła furtkę, przeniosła patelnię, odstawiła, zamknęła furtkę.

Kiedy się odwróciła, żeby podnieść naczynie, ścieżkę wzdłuż domu przeciął jej szarozielony jeż. Jakby jej tu nie było. Stała chwilę, upewniając się, czy nie miała przywidzenia, po czym wróciła do patelni.

Janusza Domino zastała na ganku.

- Dzień dobry.

Wyglądała bardzo elegancko. Szczególnie elegancko przy nim, ubranym w zafuszczone kombinezon, poplamiony farbą olejną i smarem.

- Dla pani na pewno dzień dobry - odpowiedział, wstając. - Chyba wszystko gra. - Policja spisze protokół, jak będzie miała czas. Podobno po południu. A jutro przyjedzie ten kolega od ubezpieczeń oszacować szkody.

- Dopiero jutro? - zmartwiła się. - Myślałam... Janusz Domino wzruszył ramionami.

- Pani to jest nadmiernie szybka, nie tylko na drodze. To jest wieś, nie salon samochodowy. Dobrze, że mam znajomego i obiecał zrobić, co należy. Jest szansa, że w wypożyczalni głowy pani nie urwą za uszkodzenie samochodu.

Gabrysia zawstydziała się. Była ósma rano, a wyglądało, że Janusz Domino pracuje już od dłuższego czasu. Pewnie wstał bardzo wcześnie i wziął się do roboty, podczas kiedy ona się wylegiwała.

- Przepraszam - odezwała się pojednawczym tonem. - Chyba powinnam być panu wdzięczna i tak dalej, bo to w jakimś sensie moja wina...

- O to chodzi - zaśmiał się. - I tak dalej. Gabrysia przełożyła patelnię do drugiej ręki.

- Mam coś na przeprosiny... Mężczyzna pociągnął nosem zaciekawiony.

- Jajecznicą? Dla mnie? Z arszeniczkiem? Strychninką? Gabrysi było niewygodnie, bo patelnia swoje ważyła.

- Niech się pan nie wygłupia! - warknęła. - I proszę to wziąć wreszcie ode mnie, bo strasznie ciężkie.

Zdjął kombinezon i rzucił go w kąt ganku. Pod spodem miał koszulkę i szorty. Odebrał patelnię, wolną ręką otworzył drzwi do domu.

- Pani jest dość namolna - zauważył z żartobliwą przyganą. - Nie jestem pewny, czy można panią bezpiecznie wpuścić pod dach.

Ze swojego miejsca Gabrysia widziała wnętrze pokoju. Akurat na wprost niej była ściana z makatą, na której wisiały skrzyżowane szable.

- Może mnie pan zadźgać jataganem - rzuciła. - Poza tym wcale się nie pcham do pańskiego rodowego gniazda.

Otworzył szerzej drzwi.

- Zapraszam, zapraszam. - Przesunął się tak, żeby nie uciekła obrażona. -

A to nie jest jatagan, tylko szaszka. Taka szabla. Należała do mojego dziadka, Samuela Murzy Krzeczowskiego. Był ułanem u Piłsudskiego.

Gabrysia zachłysnęła się niespodziewanym kontrastem. Dom tylko z zewnątrz był stary. Wewnątrz wykończono go wygodnie i współcześnie.

Weszli do jasnej kuchni, zastawionej drewnianymi rustykalnymi meblami i drobiazgami z biało-niebieskiej porcelany, zawieszonych ludowymi makatkami. I nowoczesna kuchenka elektryczna, na której Janusz Domino postawił patelnię.

Umył ręce pod chromowanym zlewozmywakiem, wytarł lnianą ściereczką. Przysunął stołek do kuchenki, ze stojącego obok glinianego dzbanka wyjął drewnianą łyżkę.

Zanim zabrał się do jedzenia, zapytał:

- Skusi się pani?

- Dzięki.

I dodała z żartobliwą satysfakcją:

- Właśnie dlatego przyniosłam, że zostało. Pani Eismonto-wicz usmażyła to dla mnie chyba z tuzina jaj.

Włożył łyżkę do jajecznicy.

- Z czterech - uściślił. - Tuzin to dwanaście. Gabrysia wydeła wargi.

- Co pan powie? A ja myślałam, że tatarskie tuziny są mniejsze. Janusz Domino roześmiał się z zadowoleniem.

- Brawo! - powiedział z uznaniem. - Dzień naprawdę dobrze się zaczyna.

Poprzedniego wieczora Gabrysia przekazała Januszowi tylko najważniejsze informacje. Że leciała z Toronto z Alekssem Domino, jak on wybierał się na ślub syna, jak bardzo mu zależało na tym, by go znowu zobaczyć. A także o tym, że obawia się spotkania, bo nie jest pewny, w jaki sposób syn go przyjmie.

- Chciałem go po prostu poznać - powiedział wczoraj Janusz Domino. - Nie liczyłem na pomoc czy coś w tym rodzaju. Jakoś sobie dawałem radę sam. Niech mu pani powie, że nie potrzebuję jego dolarów.

Wczoraj była zbyt poruszona własnymi sprawami, żeby myśleć o innych. Nie powiedziała Januszowi, że jego ojciec znalazł się w szpitalu i nie wiadomo, czy przyjedzie na ślub. Dopiero teraz zamierzała to nadrobić.

- Człowiek lubi wiedzieć, skąd się wziął - rzekł Janusz Domino. - W tej wsi mieszkają ludzie, co swoich przodków potrafią wymienić na wiele pokoleń wstecz. Ja tylko chciałem dowiedzieć się czegoś o moim ojcu. W życiu każdego człowieka, mężczyzny, jest taka chwila, że się nad tym zastanawia... Powie mi pani coś o nim? - zapytał. - Na przykład, czemu sam od razu nie przyjechał, a panią wysłał na przeszpiegi?

- Nie mógł przyjechać - przypomniała. - Przecież aklimatyzacja... Janusz Domino prychnął.

- Jaka znowu aklimatyzacja? Trzeba trochę się przespać i po wszystkim. Gabrysi było głupio, bo jej przygotowane tłumaczenie na niewiele się tutaj przydało.

Janusz Domino od razu odkrył kłamstwo.

Na szczęście zadzwoniła komórka leżąca na stole. Gospodarz wstał, odebrał rozmowę.

- Cześć, cześć... Jutro. No, tak jak się umówiliśmy. Tylko nie zawał. Dzięki. No, jest tutaj. Siedzi przede mną. Z dość nieszczęśliwą miną... Zabawię, jeśli się zgodzi. Nie, to raczej wyzwanie. Ma język jak pilnik. Gabrysia zmarszczyła brwi. To o niej tak mówi? Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- Jutro - powiedział. - Jutro będziemy mieli komplet. Na razie musi tu pani jeszcze zostać.

Nie była zachwycona. Ale nie miała innego wyjścia, skoro trafiła na koniec świata.

- Musimy porozmawiać - przypomniał. - Zaparzę kawy, a pani opowie mi o człowieku nazwiskiem Alex Domino.

- Aleksander - poprawiła. - I jest pańskim ojcem. Wzruszył ramionami, a potem gestem zaprosił do innych pomieszczeń.

- Proszę się rozejrzeć, jeśli pani chce. Kawę przyniosę do pokoju. Dom był bardzo obszerny. Składał się z kilku izb, urządzonych

skromnie, ale ze smakiem i - co było zaskoczeniem dla Gabrysi -bardzo nowocześnie. W lewej izbie, gdzie pod ścianami stały ławy i stary kufer, był też komputer i sprzęt grający wysokiej klasy.

Dość niski drewniany sufit był malowany, na podłogach leżały ręcznie tkane chodniki, barwne makaty wisiały na ścianach. Wszędzie pachniało odnowione drewno.

- Piękny dom - powiedziała z zachwytem.

- Piękny - zgodził się gospodarz. - Włożyłem sporo pracy. Ale nie mogłem przecież zostawić tego domu na zatracenie. Całymi pokoleniami rodzili się i umierali tu ludzie. Czasem zdaje mi się, że słyszę ich oddechy.

Przyniósł z kuchni kawę w malutkich metalowych naczynkach.

- Kiedy sobie uświadomiłem, że będę mieszkał gdzie indziej, byłem nieszczęśliwy.

Skinął w kierunku stołu.

- Proszę spróbować mojej kawy. Całkiem dobra. Napój był aromatyczny i gorący.

- Smaczna - pochwaliła Gabrysia. - Ma pan więcej talentów kulinarnych?

- Pewnie! - zaśmiał się. - Herbata. I kilka drinków.

- Drinki? - zdziwiła się. - Czy to znaczy, że nie jest pan prawdziwym Tatarem? Muzułmanie stronią od alkoholu.

-Pewnie, że nie jestem - przyznał spokojnie. - Co najwyżej w jednej ósmej albo raczej szesnastej. Moja cioteczna babka zakochała się w Tatarze. Uciekła z nim z rodzinnego domu. Mieszkali właśnie tutaj.

- Rodzinna tradycja? - zapytała. - Czy dlatego uciekł pan od Renaty? Zeby być w zgodzie z tradycją?

Wykrzywił usta w lekkim grymasie.

- Dokładnie wszystko pani powiedzieli, co? - zapytał niezadowolony. - To jest właśnie to, co początkowo trochę mi przeszkadzało na wsi. Ze wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. - A teraz? - Teraz mam to w nosie. Powiedziała mu, że najpierw odwiedziła Krzemionki.

- Domyśliłem się.

Wysłuchał relacji z rozmowy Gabrysi z Renatą.

- Ona się martwi - powiedziała na koniec. - Co takiego jej pan zrobił?

Janusz Domino wzruszył ramionami.

- Ja jej zrobiłem? Tak pani powiedziała? Wkurzyła mnie. Ot, i cała tajemnica. Raczej pomówmy o moim ojcu. Po co właściwie tu pani przyjechała? Tylko z tymi błyskotkami?

Pudełeczko z obrączkami stało na stoliku pomiędzy nimi. Teraz było już własnością gospodarza domu.

Gabrysia nabrała powietrza w płuca.

- Długo rozmawialiśmy. Opowiadał wiele o swoim trudnym życiu i o tym, jak tęsknił. Kiedy się dowiedział o ślubie, zapragnął przyjechać. Chciał, żeby pan o nim czegoś się dowiedział.

Janusz wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę to wcale go nie zapraszałem - przyznał się po chwili. - Chodziło mi raczej o co innego. O to, żeby zobaczyć, że i bez niego dałem sobie radę.

- A pańska mama?

- W porządku - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jakies pięć lat temu wyszła szczęśliwie za mąż.

- Przyjedzie na ślub?

- Raczej nie. Dzwoniłem do niej, żeby się nie fatygowała. Poza tym jest teraz za granicą. - Zastanawiałam się, jak by zareagowali oboje...

- Nie będzie ślubu, więc się nie spotkają - powiedział spokojnie Janusz Domino. - Mój ojciec to tylko marzenie i sen. Zawsze go traktowałem jak coś tajemniczego i mało rzeczywistego. W dzieciństwie słyszałem od matki, jak to zginął. Myślałem, że jestem półsierotą. Potem, miałem chyba dwanaście lat, dowiedziałem się prawdy. Przypadkiem. Niewiele mi o nim opowiadała. Była młoda i tyle. Wyjechał za granicę kiedy miałem sześć lat. W domu nie znalazłem ani jednego zdjęcia.

- Jest pan do niego podobny - zauważyła Gabrysia. Janusz Domino wstał, nagle rozdrażniony. - Wcale mi na tym nie zależy - burknął.

- Chyba jest bardzo samotny - przekonywała. - Odniosłam wrażenie, że z nikim nie był związany przez te lata. Chyba kochał pańską matkę. Wzruszył ramionami.

- Wątpię. Po co by miał w takim razie od niej uciekać?

- Był młody - przypomniała. - Przestraszył się obowiązków i odpowiedzialności.

- Też jestem młody! - wyrwał się. - A nie zamierzam popełnić tego samego błędu.

Gabrysia Kubacka westchnęła.

- Widzę. Nie zadzwoni pan do Renaty? Ona czeka na telefon i gdybyście porozmawiali, być może jakieś rozsądne rozwiązanie...

- To ona powinna zadzwonić.

Gabrysia nikogo nie chciała do niczego przekonywać. Jej zadanie polegało tylko na przekazaniu tego, co usłyszała od innych.

- Więc raczej nie będzie ślubu?

- Raczej nie będzie - potwierdził. - Najpierw miał być, potem go odwołaliśmy, to teraz nie będę się wygłupiał i znowu go planował tylko dlatego, że przyjechał facet, który chce zobaczyć mój ślub i twierdzi, że jest moim ojcem.

Potem wyjaśnił:

- Studencka miłość, wie pani. Pierwsze zauroczenie. I tak trwało to zbyt długo. Na szczęście ta kłótnia z Renatą uświadomiła mi, że sporo nas dzieli.

- Pogląd na posiadanie dzieci? Skrzywił się.

- Wie pani o tym? Od kogo?

- Od Renaty. Janusz prychnął.

- Głupia! Po co mówić obcym takie rzeczy!

Gabrysię dotknęły jego słowa. Ale oczywiście miał rację. Była osobą obcą, przypadkiem zaplątaną w cudze życie. I nadmiernie przejmowała się swoją rolą.

Widocznie zorientował się, że sprawił jej przykrość.

- Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć.

- W porządku - burknęła bez przekonania.

- Miałem na myśli to, że Renata bez zastanowienia opowiada o wszystkim, nawet o tym, co jest, to znaczy co było, między nami.

- W porządku - powtórzyła Gabrysia. - Rozumiem.

- To naprawdę pani nie dotyczy. Pani jest prawie jak ktoś z rodziny.

- Poważnie? - zaśmiała się.

To niespodziewane oświadczenie w jakiś dziwny sposób ją uradowało.

- To może szkoda, że nie będzie wesela - zauważyła. - Chętnie dałabym się zaprosić.

Janusz Domino rozłożył ramiona.

- Sorry, ale nawet dla pani tego nie zrobię. Ale za to mogę pokazać pani okolicę i parę tutejszych tatarskich ciekawostek. Przynajmniej nie będzie pani mówić, że wizyta tutaj to był zmarnowany czas.

10

Mieli rozmawiać o Aleksie Domino. Gabrysia przypominała sobie, co mówił w samolocie, i przekazywała to Januszowi. Ale stale powracał temat Renaty.

- Jest bardzo ładna - zauważyła Gabrysia.

Siedzieli w terenowym samochodzie Janusza, którym obwoził ją po okolicy. Zaśmiał się.

- Ja przecież też niczego sobie...

Gabrysia nie była pewna, co niedawny narzeczony myśli naprawdę.

- Nie widać, żeby specjalnie się pan martwił - zauważyła. - Ale nie wiem, czemu przypisać tę sztuczną lekkość...

- Ja też nie wiem - przyznał się. - Czasami wesołkowatością pokrywam zmieszanie.

- Zmieszanie? - prychnęła. - Jakoś trudno mi sobie pana wyobrazić zmieszanego, jest pan raczej beczelny.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dzięki. Tak właśnie chcę być postrzegany. Przecież jako prawie Tatar nie mogę być miękki.

- A naprawdę? Wzruszył ramionami.

- Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że wszystko jest jasne. Rozstałem się z Renatą, zaczynałem nowe życie. Teraz pani przyjechała i wprowadziła w moje nowe, wolne życie wiele zamieszania. Bo co mam zrobić? A jeśli pan Alex przyjedzie i weź-

mie mnie na litość? Tego zawsze bałem się najbardziej. Litości, nieuprawnionej litości. Jakiś facet, którego wcale nie znam, przyjedzie i powie, że jest chory, że cały świat przejechał, żeby mnie zobaczyć, poznać moją narzeczoną, że całe życie pracował na te obrączki...

Gabrysia poruszyła się niespokojnie.

- Może ocenia go pan niesprawiedliwie...

- Niesprawiedliwie? A gdzie był do tej pory?

- Podobno szukał kontaktu. W końcu to pańska matka utrzymywała, że nie żyje. Jako dziecko nic pan nie wiedział, a przecież miał prawo.

Janusz Domino westchnął.

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć. Dziewczyna pokazała wzrokiem leżący na półce telefon.

- Wracając do mojej roli posłańca... Może wystarczy zadzwonić do Renaty? W końcu coś was łączyło przez te trzy lata...

Wzruszył ramionami.

- Chyba mniej niż mi się zdawało - powiedział z nagłym smutkiem.

Gabrysia obserwowała pola, na których widać było nieliczne osoby zajęte grabieniem siana.

- No, fakt - przyznał się Janusz z uśmiechem. - Zastanawiałem się, co mi nie pasuje. I im więcej myślę, tym więcej takich rzeczy znajduję. Ja na przykład lubię wygadane kobiety. Żeby się odszczeknęła czasem, podjęła trud polemiki.

Gabrysia zachichotała.

- I może jeszcze dała w nos?

- Nie mówiłem, że pani jest jak z rodziny? Zna wszystkie tajemnice. A co do walenia po nosie, to właśnie za tym nie przepadam. To jest ta cienka granica, której kobieta nie powinna przekraczać.

- A Tatarzy biją swoje kobiety? - zaciekała się Gabrysia.

- Pewnie! - zaśmiał się. - Lubią je też ciągać za włosy po ulicy.

Pojechali aż do odległej o dwadzieścia kilometrów wioski, Bo-honik, gdzie mieszkała, liczniejsza społeczność tatarska, z własnym meczetem, w którym czasem odbywały się nabożeństwa. Janusz zatrzymał samochód na podjeździe, wysiedli i poszli do drewnianej budowli, zdjawszy wcześniej buty przed progiem.

Kobieta w zielonej sukni i białej chuście ciasno otulającej głowę
oprowadzała grupkę turystów.

W chłodnym, wyłożonym dywanami pomieszczeniu, było podwyższenie
dla kapłana zwanego imamem, skierowane w stronę Mekki, i miejsce
modlitwy dla kobiet, odgródzone balustradą.

- Osiedlił nas tutaj król Jan III Sobieski, dla obrony granic
Rzeczypospolitej od ruskiej strony. Za wojenne zasługi nadał naszym
przodkom ziemię, pozwolił wybudować meczety i żenić się ze
szlachciankami, od których przyjęliśmy nazwiska...

Później wszyscy zwiedzający pozowali do fotografii.

- Tak się powinny ubierać kobiety - mówiła przewodniczka, wskazując
na swój strój. - Skromnie, spokojnie.

- Chyba wiem, czemu Renata nie chciała zamieszkać w Kru-szynianach

- powiedziała Gabrysia żartobliwie do swego towarzysza. - Pewnie
myślała, że pan ją zagoni tutaj. Za to przepierzenie. A w domu będzie
traktować jak niewolnicę. I każe chodzić w takich ciuchach...

Odpowiedź Janusza zawstydziła dziewczynę.

- Te ciuchy - odszepnął - są w pewnych hm... domowych
okolicznościach... bardzo wygodne...

Sołtys nosił białe tenisówki, czerwone spodnie od dresu i przyciasną
szarą marynarkę zapiętą na jeden guzik. Był bardzo gruby.

Nadszedł szybko od strony wsi, z daleka machając ręką.

- Panie Januszu! Panie Januszu! Janusz westchnął przesadnie.

- No tak, będzie mnie wypytywał!

Sołtys podszedł drobnymi kroczkami, podał Januszowi rękę, a potem
zajął się oglądaniem Gabrysi.

- Co to? - zapytał Janusza, cały czas przypatrując się dziewczynie. -

Narzeczona, widzę, przyjechała. Znaczy, będzie wesele!

Nie czekając na odpowiedź, podniósł obie ręce i trzymał je przy piersi, a
Gabrysia dopiero po chwili zorientowała się, że czeka, żeby mu podała
dłoń do ucałowania. Zrobiła to, a on lewą ręką zdjął na chwilę z głowy
czapkę z daszkiem.

- Przepraszam, że ja taki nieświęteczny - usprawiedliwiał się. -Ale idę
prosto z pola.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go Gabrysia, cofając dłoń, bo sołtys gotów był jej nie wypuścić. - Jest pan przecież u siebie.

Gruby mężczyzna popatrzył z uznaniem na Janusza.

- Co za kobita! - zauważył. - Najlepsze życzenia na nowej drodze życia! Gabrysia chciała zaprzeczyć i wyjaśnić pomyłkę, ale Janusz nie śpieszył się z wyprowadzaniem sołtysa z błędu.

- Właściwie to ja z prośbą lecę - powiadomił sołtys. - Bo właśnie chciałem pożyczyć... Oj, chyba zapomniałem... No, nic - powiedział w końcu. - Później sobie przypomnę, to podejść.

- Będę na miejscu - zapewnił jego rozmówca z uśmiechem.

Kiedy sołtys odszedł, Gabrysia natychmiast zapytała swojego towarzysza, czemu nie sprostował pomyłki. Janusz Domino wzruszył ramionami.

- A po co? I tak trochę niedowidzi. Dziewczyna była zaskoczona i nie wiedziała, czy śmiać się, czy złościć.

- Niedowidzi? Ale chyba słyszy?

- Jak najbardziej.

- Więc czemu mu pan nie wyjaśnił? Bóg wie, co sobie pomyśli! Przecież nie bardzo jestem podobna do Renaty.

Janusz przyjrzał się Gabrysi, jakby zobaczył ją dopiero przed chwilą.

- Wcale nie jest pani podobna - zauważył spokojnie.

W innych okolicznościach Gabi Kubacka może pomyślałaby sobie coś o nachalności mężczyzn, ale teraz była zajęta czym innym.

- Zatem? - dociekała.

- Co zatem?

- Czemu tak?

Janusz uśmiechnął się szeroko. Miał ciepły, zniewalający uśmiech.

- Bo nic o pani nie wiem - odpowiedział. - Jak niby miałem panią przedstawić sołtysowi, było nie było, urzędowej osobie? Dziewczyna z miasta, co nie umie jeździć samochodem? Przecież ja nawet nie znam pani imienia.

- Fakt - przyznała. - Po części racja.

- Po części?

- Trzeba mnie było zapytać.

- Trzeba mi było powiedzieć. Pani wiedziała, jak się nazywam.

- Prawda - potwierdziła i wyciągnęła rękę na zgodę. - Gabi Kubacka. Miał mocną, suchą dłoń, o długich silnych palcach.

- Gabi? - zapytał. - Gabriela?

- Gabriela - potwierdziła. - Ale wolę Gabi. Tak mnie nazywali w Toronto.

- Aha - przypomniał sobie. - Pani przyjezdna. Długo byłeś w tej Kanadzie?

- Ostatnio przez sześć miesięcy. Wcześniej przez trzy.

- I co tam, mniej więcej, robiłeś?

- Pracowałam na chlebek.

- Jako kto?

- Jako konsultant do reorganizacji zatrudnienia w instytucji finansowej.

- Proste - pokiwał głową.

Gabrysia teraz sama zaczęła zadawać pytania.

- A ty kim jesteś? Poza tym, oczywiście, że złotą rączką?

- Kto tak powiedział?

- Wszyscy tak mówią. I mam nadzieję, że to prawda. Chodzi o mój samochód, jeśli już zapomniłeś.

- Nie zapomniałem. Jutro przyjedzie mój kolega z PZU i będzie pięknie. Znaleźli się za wsią Bohoniki, obok niewielkiego wzniesienia porośniętego sosnowym lasem.

- To mizar - powiedział Janusz. - Tatarski cmentarz.

Zamknął samochód i poszli przez furtkę w kamiennym murze. Minęli dziwaczne nagrobki, dość nowe i brzydkie, robione podobnie jak na znanych Gabrysi innych cmentarzach, z tą różnicą, że wszystkie były zorientowane w jednym kierunku, do Mekki. Różniły się też tym, że wykonane na nich napisy należało odczytywać, stojąc od strony głowy, nie od strony nóg zmarłego. Na wszystkich widniały wyrzeźbione lub namalowane półksiężyce.

Potem Janusz Domino poprowadził Gabrysię nieco dalej, na zbocze, gdzie stały pionowo różnej wielkości głazy i kamienie, zarośnięte, omszałe.

- Mają po dwieście, trzysta lat - wyjaśnił. - Gdzieś tu jest też grób mojego cioteczkiego dziadka. Ale nie wiem, który. Nikt już tego nie pamięta, a napisów wówczas nie robiono, to nowa mo-

da. Gdyby nawet były, nie umiałbym tego przeczytać. Zresztą, nie tylko ja. Dzisiejsi Tatarzy polscy nie znają swojego dawnego języka, zachowali tylko religię.

Gabrysia z przyjemnością słuchała opowieści o rodzinie Janusza, umiał opowiadać zajmująco i ciekawie. Śmiała się głośno, gdy opisywał, jak dziadek Asłan porwał swoją ukochaną Helenkę. W czasie ucieczki przed pościgiem rodziny, odbywanej pożyczonym specjalnie na tę okazję samochodem, stoczył zwycięską walkę ze stadem krów na drodze.

- Szkoda, że tak niewiele wiesz o swoim ojcu - zauważyła później Gabrysia.

- Skoro już przyjechał, może się czegoś dowiem. Że też nie zapytałaś, do jakiego szpitala go zabrali.

Gabrysia sama była o to zła na siebie. To przecież podstawowa informacja, którą powinna przekazać.

- Sorry - usprawiedliwiła się. - Jakoś tak wyszło...

- W porządku - uśmiechnął się pogodnie. - Czekałem tyle lat, mogę jeszcze poczekać kilka dni. Jakoś go przecież znajdziemy.

Powiedział to „znajdziemy” tak sobie, ale Gabrysia pomyślała, że chętnie towarzyszyłaby dłużej temu inteligentnemu, dowcipnemu i przystojnemu młodemu mężczyźnie. Ale szybko odrzuciła tę myśl. To przecież nie jej chłopak ani narzeczony. A ona jest tylko posłańcem.

11

To był ładny, ciekawy dzień. Gabrysia wcale nie myślała o tym, co ma do załatwienia. Nawet sprawą uszkodzonego samochodu mogła się zupełnie nie przejmować.

- Wszystko załatwię - obiecał Janusz . - Przed nikim nie będziesz się musiała tłumaczyć i wystarczy, że podpiszesz gotowe kwity.

Była więc jakby na wakacjach. Wcale nie żałowała, że los rzucił ją w to urokliwe miejsce.

Poszła spać z poczuciem, że zobaczyła niezwykle miejsca i po-

znała ciekawych ludzi, i z pewną dozą niepokoju uświadomiła sobie nagle, że już zapewne jutro będzie musiała stąd wyjechać. Gdyby znalazł się jakiś wiarygodny pretekst, raczej nie wahałaby się nad przedłużeniem pobytu w Kruszyńnianach.

Kiedy ktoś zastukał do okna, w pierwszej chwili myślała, że to tylko sen. Ale delikatne pukanie powtórzyło się po chwili raz, drugi i trzeci. Gabrysia wstała z tapczanu, przesunęła się pod ścianę i spojrzała przez szybę. Okno było przymknięte. Stał za nim Janusz Domino.

Gabrysia zerknęła na zegarek Brakowało kilku minut do północy. Wydawało się jej, że spała bardzo długo, a minęło dopiero pół godziny. Podniósł rękę, żeby znowu zastukać, ale powstrzymał się, widząc przy szybie twarz dziewczyny.

- O co chodzi? - zapytała, rozglądając się z niepokojem. Wszędzie wokoło panowała wielka cisza, dom spał, spała cała okolica, spał cały świat.

- Gabi, wyjdź - poprosił Janusz. - Coś ci pokażę. Zdumiona Gabrysia raz jeszcze spojrzała na zegarek

- Co takiego?

- Wyjdź, to zobaczysz - powtórzył.

Miał na sobie czarną koszulkę i ciemne spodnie. I trzymał w ręku jakiś spory, okrągławy przedmiot, którego w mroku nocy nie mogła rozpoznać.

Zawahała się. Niespodziewane wezwanie było co najmniej dziwaczne.

- No, nie wiem - odpowiedziała. •- Jest późno i pani Eismon-towicz...

- Nie budź jej - zażądał. - I wyjdź przez okno. Gabrysia nigdy jeszcze nie wchodziła do nikogo przez okno

ani tym bardziej do nikogo nie wychodziła.

Skinęła głową i cofnęła się, żeby się ubrać. Narzuciła bluzkę, wciągnęła spodnie, ale nie byłaby kobietą, gdyby nie zerknęła do lustra.

Ostrożnie otworzyła połówkę okna, potem drugą. Rama skrzypnęła nieco, ale nie na tyle, żeby to miało kogokolwiek obudzić. Pani Walentyna spała zapewne i zapewne spał jej ponad stuletni dziadek.

Z parapetu było dość daleko do ziemi, ale okazało się, że Janusz pomyślał i o tym. Pod oknem stał wysoki pień, na którym mogła postawić stopy. Podał jej rękę, żeby mogła bezpiecznie zejść.

- O co chodzi? - dopytywała się szeptem. - I co masz w tym koszyku?

Janusz Domino niósł duży wiklinowy kosz.

- W tej chwili nic - odpowiedział tajemniczo. Poprowadził ją w kierunku pól za domem. Musieli najpierw

przejsć niezbyt wysokie ogrodzenie z tyczek, a potem znaleźli się już na otwartej przestrzeni. Gabrysia była zdumiona, jak wokoło jest cicho i jak ciemno. Ale gdy po jakimś czasie oczy przyzwyczyły się nieco do ciemności, światło księżyca i gwiazd okazało się wystarczająco wyraźne, żeby i ona widziała ścieżkę przed sobą.

- Co ci przyszło do głowy? - pytała z niepokojem. Znowu nie udzielił odpowiedzi. Gabrysi szło się już całkiem

znośnie po łące, nie potykała się na nierównościach. Spoglądała na milczącego towarzysza, idącego obok z tajemniczą miną. Ale teraz nie mogła się już wycofać. Mogła nie wychodzić z domu. A skoro już wyszła, musiała brnąć dalej.

Minęli niewielkie wzniesienie, potem skierowali się ku ciemnej smudze przed nimi, która mogła być zabudowaniami, a okazała się niewielkim zagajnikiem. Teren się tu nieco obniżał.

- Może mi jednak powiesz, co to za tajemnice? - zagadnęła po chwili, nadal szeptem.

- Możesz mówić normalnie. Tu nikt nas nie usłyszy.

- Co mi chciałeś pokazać?

- Coś prawdziwego, czego mieszczuchy nie znają.

W zagajniku trafili na rzeczkę, cichutką, szeroką ledwie na dwa kroczki.

- To Nietupa - wyjaśnił Janusz Domino. - Płynie do Świsło-czy. To rzeka już na granicy białoruskiej, jakieś dwanaście kilometrów stąd. I dalej do Niemna.

- Będziemy się przekradać przez granicę? Na Białoruś? zapytała rozbawiona.

Nie wiedziała, jaką rolę miałby w tej akcji odegrać wiklinowy kosz.

- Pokażę ci coś prawdziwego, Gabi - powtórzył Janusz.

No tak, pomyślała Gabryisia. Tego się przecież mogła spodziewać. Jak głupia dziewczyna wychodzi przez okno, w noc, z nieznanym mężczyzną, to może się to skończyć tylko w jeden sposób.

- Chyba... - zęby jej nagle zadzwoniły z przejęcia albo może z przestachu. - Chyba nie jestem ciekawa...

Stali nad brzegiem rzeczki. Janusz Domino ruchem głowy wskazał sierp księżycy nad nimi.

- Widzisz, jaki jest dzisiaj? Zupełnie jak nasz, tatarski półksiężyc. Zaraz go złapiemy.

Gabryisia z trudem przełknęła ślinę. Półksiężyc. Mają łapać półksiężyc. W jaki sposób? A przede wszystkim, po co?

Janusz palcem pokazał błyszczące odbicie w wodzie. Nurt Nietupy był bardzo powolny i złocisty księżyc falował leciutko.

- Zaraz go złowię dla ciebie - powiedział Janusz Domino. Podeszedł bliżej, przygotował koszyk.

To wariat, pomyślała Gabryisia Kubacka. To jest zwyczajny wariat, który mnie tu zaraz nie tylko zgwałci, ale i zamorduje, a potem zakopie w lasku.

Cofnęła się o krok, bo Janusz odstawił koszyk na brzeg i zaczął ściągać koszulkę. Rzuciłaby się do ucieczki, gdyby nie obawa, że w ciemnościach mogą się czaić znacznie straszniejsze stwory.

Poza tym Janusz Domino zdawał się wcale nie interesować jej osobą. Złożył koszulkę dwa razy na pół i wcisnął ją na dno koszyka. Potem wolniutko, starając się nie wzburzyć wody, zamoczył koszyk.

Gabryisia Kubacka patrzyła, jak zbliża się z tym prowizorycznym naczyniem do złotego odbicia, jak podkłada koszyk, jak czerpie nim wodę. - Mam go! - powiedział cicho.

W koszyku była woda, koszulka nie pozwalała jej szybko wyciec. A w wodzie pływał tatarski półksiężyc.

- Podejź, Gabi - poprosił Janusz, skupiony na swojej czynności. - Tylko ostrożnie.

Posłusznie zrzuciła pantofle, weszła w płytki nurt i z bliska przyjrzała się zdobyczy. Półksiężyc, żółty, złoty, pomarańczowy, iskrzący się. Błyskał jak żywa istota.

- Teraz jest twój, Gabi - powiedział Janusz Domino. - Weź go.

Ostrożnie jak tylko mogła zbliżyła się, dotknęła pałaka koszyka. Księżyc nadal w nim był, nadal błyszczał pięknie.

A potem zaczął tracić ostrość, przestał świecić tak wyraźnie, rozplynął się wraz z wodą, która wolno przeciekła pomiędzy wikliną, i powrócił gdzieś do rzeczki.

Gabrysia zobaczyła przed swoją twarzą roześmianą, rozbawioną twarz mężczyzny.

- I co powiesz? - zapytał.

Gabrysia nie odpowiedziała od razu. Była zupełnie zaczarowana.

Ciemną nocą, złotym księżycem i tym dziwnym, dziwacznym mężczyzną.

- Januszu Domino - odpowiedziała z westchnieniem, jakby obudzona ze snu. - Jesteś świrnięty! Jesteś po prostu ciężko świrnięty!

12

Wracali przez ciemność bardzo powoli. Trzymała go za rękę, dla bezpieczeństwa. Ot, tak zwyczajnie odszukał nagle jej dłoń i wziął w swoją.

- Żebyśmy się nie zgubili - powiedział.

Czar najwyraźniej jeszcze działał, bo Gabrysia wcale nie była pewna, że chce szybkiego powrotu do domu.

- Tak naprawdę to zawsze zależało mi tylko na jego opinii -mówił Janusz Domino. - Na opinii mojego ojca, którego nie znałem, a którego spodziewałem się kiedyś poznać. Ze zobaczy, co osiągnąłem, i będzie ze mnie dumny. Bo przekona się, że niczego od niego nie potrzebowałem, że sam sobie dałem radę. Chyba dość długo to trwało i chyba ciężko było mi wyzwolić się spod tego ciśnienia. Poszedłem do szkoły, jednej, drugiej, potem na studia. Bywało rozmaicie, matka niewiele się mną interesowała. Czekałem na niego i kiedy niespodziewanie się odezwał, to było tak jakbym nagle złapał Pana Boga za nogi. Ale tylko przez chwilę. Bo chyba już wcześniej zrozumiałem, że ważne jest co innego. To, co sam o sobie myślę i co sam o sobie wiem.

- To dlatego przyjechałeś tutaj - domyśliła się Gabrysia. - Chciałeś się sprawdzić po raz kolejny.

- Prawdopodobnie. Ale jak tylko przyjechałem w ubiegłym roku, wiedziałem, że ta próba nie była konieczna. Że już dość mocno stoję na nogach. Ojciec odegrał więc w moim życiu ważną rolę, choć nigdy się nie spotkaliśmy.

Gabrysia słuchała uważnie i szła prowadzona przez ciemność, zdana całkowicie na łaskę Janusza. Nie widziała drogi, bo tej wcale nie było, ale nie potrzebowała jej widzieć. Przepęłniało ją zaufanie do tego dużego, silnego mężczyzny, który, była przekonana, z łatwością wybawiłby ją z każdej opresji.

- Czekałem na znak od niego, ale kiedy nagle się odnalazł byłem zaskoczony - tłumaczył Janusz. - Kiedy napisał, że na pewno przyjedzie, zrodził się we mnie odruch buntu. Bo właściwie wtedy już go nie potrzebowałem.

Gabrysia delikatnie uwolniła swoją dłoń z jego ręki. Byli już na granicy wsi i przed nimi widać było zabudowania.

- Myślę, że mogło chodzić o coś jeszcze - zauważyła. - Myślę, że mogłeś się bać. I że miałeś do tego prawo. Zatrzymał się.

- Co to znaczy?

Stali właśnie przy płocie gospodarstwa pani Eismontowicz. Janusz pomógł Gabrysi przejść przez ogrodzenie, a sam pokonał je jednym zgrabnym skokiem.

- Co to znaczy? - powtórzył.

- Bałeś się - wyjaśniła Gabrysia. - Bałeś się dowiedzieć, jaki jest naprawdę. Przez lata wyrobiłeś sobie pogląd na jego temat. Obawiałeś się, że zobaczysz kogoś, kto cię rozczaruje. Kogoś chorego, słabego, mniej wspaniałego, niż to sobie wymarzyłeś jeszcze w dzieciństwie. Usłyszała, jak nagle wzdycha głośno.

- Trafiłaś w sedno - przyznał po chwili. - Jak to odgadłaś? Zaśmiała się cichutko. - Wyszłam z założenia, że każdy czegoś się boi lub bał. Zadałam sobie pytanie, co to było w twoim przypadku.

- Brawo! - pochwalił. - A ty czego się boisz?

Gabrysia przystanąła, z napięciem wpatrując się przed siebie. Ale dom pani Eismontowicz był pogrążony w całkowitej ciemności.

- Teraz się boję, że ona zauważyła moją nieobecność - powiedziała.
- Tylko tyle? Jakoś bym cię przed nią wytłumaczył. Ona mnie lubi.
- Zapewne - zgodziła się. - Kazała ci oddać moją jajecznicę.

Janusz Domino śmiał się radośnie. Wtedy przy płocie i później ze dwa razy znalazł się tak blisko, że Gabrysia poczuła ciepło jego ciała.

Przyjemne doznanie.

- A jej dziadek? - zapytała. - Rzeczywiście ma sto osiem lat?
- Co najmniej. Podejrzewam, że co najmniej sto więcej - zażartował.

Podprowadził ją do okna jej pokoju. Pieniek, który tu wcześniej przytoczył, stał na swoim miejscu.

- A ty czego się naprawdę boisz, Gabi? Gabrysia ponownie usłyszała powagę w jego głosie.

- Sama nie wiem - zaczęła wykrętnie. - Ciemności. Może pochopnych sądów. Prawdy. Fałszu. Złudnej jasności. Niespodziewanego hałasu.

Uśmiechnęła się.

- Wielkich, żółtych traktorów - dodała. - Poza tym wszystkiego innego. Choć dziś jakby trochę mniej. Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. To było coś naprawdę niezapomnianego.

- To ja dziękuję, że się zgodziłaś.

- Och! - prychnęła. - To naprawdę nic wielkiego. Prawie każdej nocy wylazę przez okna i biegam po polach z obcym facetem

Janusz Domino uśmiechnął się. Widziała to, bo musieli rozmawiać szeptem i ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

- Teraz nie jestem obcy - sprostował. - Nawet przeciwnie. Jesteśmy w jakimś sensie złączeni naszym tatarskim półksiężycem.

Nie znalazła dobrej odpowiedzi.

I nie cofnęła się, gdy nagle pochylił się, by delikatnie dotknąć wargami jej ust.

Jakby sprawdzał, czy jest rzeczywista i naprawdę stoi tutaj.

Nie poruszyła się, zaskoczona. Kiedy powtórzył pocałunek, poddała mu się lekko. Janusz Domino pachniał jak mężczyzna! Jak prawdziwy mężczyzna. Nie wiedziała, na czym to dokładnie polega, ale tak właśnie pomyślała.

- Wybacz - szepnął, jakby odgadł jej myśli. - Chyba cię pokłułem. Mam dość twardego zarost.

- Zauważyłam.

Ostrożnie dotknęła dłonią jego policzka.

- Dobranoc, panie Tatar.

Wspięła się na pieńki, chwyciła dłońmi parapetu. Chyba nie chciał jej jeszcze zostawić, chyba chciał ją jeszcze zatrzymać, bo jakoś długo trzymał jej rękę, niby pomagając wejść do pokoju.

Wyjrzała za nim z domu. Stał nadal pod oknem. Bez koszuli, bo ta, mokra, spoczywała w wiklinowym koszyku.

Zobaczył ją, uśmiechnął się, zamachał dłonią.

- Dobranoc, Gabi.

- Dobranoc.

Schylił się po koszyk stojący u jego stóp, ale nie odchodził.

Boże! pomyślała dziewczyna. Omal nie zaprosiłam go tutaj!

Była przestraszona tym, co mogło się stać. Przecież nie przyjechała, żeby wtrącać się w czyjekolwiek życie. Albo rujnować własne.

Janusz zbliżył się do szyby i dał znak, że chce coś jeszcze powiedzieć.

A jeśli mnie poprosi, żebym otworzyła okno? Co powinnam zrobić?

- Chcę ci coś wyznać, Gabi - szepnął Janusz. - Podjąłem decyzję. Pewną ważną decyzję. Dzięki tobie. Zdecydowałem. Rzeczywiście, niełatwo przekreślić kilka lat jednym pociągnięciem... Ale trzeba to jakoś załatwić i ktoś musi być pierwszy. Więc zadzwoniłem wieczorem do Renaty i...

Gabrysia jak oparzona odskoczyła od okna.

13

Reszta tej nocy była prawdziwym koszmarem. Kiedy Gabry-si udawało się zasnąć, były to tylko krótkie, niespokojne drzemki, pełne majaków i niezrozumiałych obrazów.

Rano pani Eismontowicz musiała długo pukać do drzwi, zanim jej lokatorka zorientowała się, że to o nią chodzi.

- Ale ma mocny sen! - stwierdziła z uznaniem gospodyni. -

Ja to wcale spać nie mogę. Całą noc się przewracałam z boku na bok, bo zdawało mi się, że ktoś się włóczy po podwórzu.

- Nic nie słyszałam - skłamała Gabrysia.

Teraz żałowała, że pani Walentyna nie trzyma w obejściu psów. Psy nie pozwoliłyby Januszowi Domino podejść do jej okna. A nawet gdyby pozwoliły, to potem, po tym co jej powiedział na pożegnanie, mogłaby go nimi poszczuć. I patrzyłaby bez litości, jak rozrywają mu portki!

- Dobrze się czuje pani Gabrysia? - zaniepokoiła się nagle pani

Eismontowicz. - Bo bladziutka jakaś taka!

- Głowa mnie boli.

- To od naszego powietrza - zdecydowała gospodyni. - Letniczki zawsze się skarżą, jak tylko przyjadą. Potem im przechodzi.

Gabrysia nie miała ochoty na dalszą rozmowę, nie miała też ochoty na śniadanie.

- To może choć mleka się napije? - dopytywała się pani Walentyna.

- Nie, dziękuję - Gabrysia pokręciła głową. - Najchętniej zostałabym w łóżku...

- Oj, nie! - zaprotestowała gospodyni. - Przecież gościa ma! W Gabrysię jakby piorun strzelił. Zerwała się i pobiegła do łazienki.

- Proszę powiedzieć, że za chwilę będę gotowa! - rzuciła zza drzwi. -

Niechaj zaczeka!

Nigdy chyba jeszcze poranna toaleta nie zabrała Gabrysi tak niewiele czasu. Pryszyć, umyć zęby, błyskawicznie ubrać się. I włosy.

Rozczesać włosy! Mówił, że woli rozpuszczone. To niech będą rozpuszczone. Kiedy wyszła z pokoju na korytarz, mijała siódma minuta od wizyty pani Walentyny. Zza ściany dobiegał jej rozbawiony głos.

Gabrysia wbiegła tam bez pukania i przystanąła zaskoczona.

Na kanapie siedziała Renata. Z Krzemionek.

- No, widzi, doczekała się! - ucieszyła się pani Eismontowicz i poszła zaraz do swoich zajęć. Renata zerwała się i uściskała Gabrysię. Ta była nieco zmieszana, nie bardzo rozumiała, co się wokoło niej dzieje.

Przecież myślała, że to ktoś inny. Spodziewała się, że...

- Chciałam ci podziękować - powiedziała Renata. - Janusz wszystko mi wyjaśnił! - mówiła dalej, wciąż obściskując Gabry-

się. - Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować, że skłoniłaś go, by zadzwonił...

- Kiedy z nim rozmawiałaś? - zapytała oszołomiona nowinami Gabrysia.

- Wczoraj wieczorem. Zadzwonił i powiedział, że trzeba się rozmówić, bo wszystko przemyślał i ma mi coś ważnego do powiedzenia. Możesz sobie wyobrazić, jak czekałam tego ranka!

- Wyobrażam sobie - potwierdziła Gabrysia.

Usiadła i słuchała paplania dziewczyny, ale nie wszystko do niej docierało. Jakby ktoś mówił z wielkiej odległości.

- Byłam głupia - stwierdziła Renata. - Byłam po prostu kre-tyńka. Sama przecież widziałaś, jaki to facet. O mały włos przeszedłby mi koło nosa i jakaś inna by mi go sprzątnęła! Jak zadzwonił, od razu powiedziałam, że wszystko mu wybaczę, jak się tylko spotkamy. I wcale nie musi mnie przeproszać!

Gabrysia czuła, że się uspokaja. Powoli opadało z niej napięcie.

Więc wszystko załatwione. Wszystko umówione. Wszystko zakończone.

Jej misja dobiegła kresu. Obiecała Aleksowi Domino dostarczyć obrączki, spełniła swoje zadanie. Teraz pozostawało jej wracać do domu. Najlepiej jak najszybciej wracać do domu i najlepiej jak najszybciej zapomnieć o tej dziwacznej przygodzie.

Wstała, ściskając skronie końcami palców.

- Wybacz - powiedziała do Renaty. - Mam silną migrenę.

- Wiem - przytaknęła tamta. - Już ci dam spokój, połóż się najlepiej i poleż. Jak Janusz wróci, to cię oboje odwiedzimy.

Gabrysia zmarszczyła brwi.

- A skąd ma wrócić? Renata pogroziła jej palcem.

- Przecież pojechał odstawić twój samochód. Zapomniałaś? Z samego rana, będzie ze dwie godziny, to niedługo powinien wrócić. Już się nie mogę doczekać, żeby się z nim pogodzić!

Ból był po prostu nie do zniesienia. I jeszcze ta gdakająca Renata!

Narobiła straszego zamieszania tym swoim szczęściem!

- Myślę, że ślub musi być najdalej za dwa tygodnie - zastanawiała się głośno Renata. - Nie później, drugi raz nie zaryzykuję takiego długiego czekania! Gabrysia znowu dotknęła skroni.

- Przepraszam, chyba rzeczywiście powinnam...

- Już cię zostawiam samą. - Renata zbierała się do wyjścia. - Tylko pamiętaj, że musisz koniecznie być na ślubie. Koniecznie! Pogniewam się na całe życie, jeśli nie przyjedziesz. Muszą być wszyscy nasi przyjaciele. I ojciec Janusza wyjdzie już ze szpitala.

Pocałowała Gabrysię w policzek.

- Nie zapomnij. Dam ci jeszcze znać, ale to chyba będzie w sobotę, za dwa tygodnie. W tym samym miejscu. Nowy ko* ściół w Supraślu.

Gabrysia Kubacka zatrzymała się nagle.

- Skąd wiesz, że jego ojciec wychodzi ze szpitala?

- No, skoro czuje się wcale dobrze - wyjaśniła Renata, ale nagle zaniepokoiła ją mina koleżanki. - Czemu tak patrzysz? Przecież to nie zawał.

- Ale skąd to wiesz? - uczepiła się Gabrysia.

- To Janusz ci nie powiedział? - zdziwiła się tamta. - No, proszę, jaki gapowaty. Wczoraj rozmawiali przez telefon. Jeszcze zanim zadzwonił do mnie.

Gabrysia Kubacka była nieprzyjemnie zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że pan Alex dzwonił.

- To Janusz go odszukał. Obdzwonił po prostu wszystkie szpitale po kolei. I wreszcie go znalazł. Na ulicy Banacha. Oj, zmyję mu głowę, że nic ci nie powiedział. Przecież tak bardzo przejmowałaś się tą całą sprawą...

- Prawda - przyznała Gabrysia. - Bardzo się tym przejmowałam. Od tego mam ten tępy ból głowy...

- Ale będzie dobrze - podsumowała Renata. - Tylko poleż i odpocznij. Cmoknęła powietrze i poszła.

Przygotowania zabrały Gabrysi około dwudziestu minut. Najwięcej czasu zajęły rozmowy telefoniczne. Panienska z centrali firmy taksówkowej odmówiła przyjęcia zlecenia.

- Przepraszam, ale nie mogę tego zrobić.

- Jak to nie może pani?! - podniosła głos Gabrysia. - Muszę natychmiast jechać do Białegostoku. Natychmiast!

- Rozumiem - odpowiedziała tamta opanowanym tonem. - Ale nie mogę przyjąć zlecenia na taki długi kurs, złożonego przez komórkę. Proszę zadzwonić z telefonu stacjonarnego, ja do pani oddzwonię i sprawdzę.

Kiedy wreszcie Gabrysia odszukała panią Eismontowicz, zapytała, czy może skorzystać z telefonu, zadzwoniła ponownie do firmy, panią z centrali oddzwoniła po minucie i wreszcie przyjęła zlecenie.

- To potrwa z godzinkę - poinformowała na koniec.

- Dziękuję! - sapnęła Gabrysia.

Pani Walentyna stała obok ze zmartwioną miną.

- Czemu tak nagle wyjeżdża? - dopytywała się. - Przecież jeszcze cały dzień opłacony. Januszek mówił, że może dłużej zostanie.

Gabrysia Kubacka zacisnęła wargi.

- Januszek mówił różne rzeczy! Poza tym wypadło mi coś bardzo ważnego.

- Szkoda! - powiedziała gospodyni. - I ja myślała, że może dłużej zostanie. Całe dwa pokoje wolne.

- Naprawdę muszę wracać - uśmiechnęła się słabo Gabrysia. - Ale polecę te kwatery znajomym. Bardzo dziękuję za pani życzliwość.

- O! - ucieszyła się pani Eismontowicz. - Reklama zawsze potrzebna.

Wyprowadziła gościa z domu aż do furtki i Gabrysia wreszcie została sama. Chodziła nerwowo obok torby leżącej przy wykrzywionym krawężniku.

Cały czas plecami odwrócona od domu Janusza Domino.

Z Białegostoku pojechała do Warszawy pociągiem pospiesznym „Jaćwing”, zatłoczonym nawet w pierwszej klasie. Próbowwała czytać gazety, kupione w kiosku na peronie, ale nie bardzo docierały do niej zawarte tam treści, miałki, wakacyjne jak wszystko inne za oknami i w samym pociągu, po którym snuli się młodzi ludzie z plecakami, nawołując się i głośno opowiadając drobne przygody.

Powitała z ulgą Warszawę, a kiedy pociąg zatrzymał się na Dworcu Centralnym i Gabrysia dotknęła stopą peronu, z jej ust wyrwało się głębokie westchnienie ulgi.

Pojechała taksówką na Orłą, weszła na pierwsze piętro i nie marudziła przy otwieraniu drzwi. Wiedziała, że hałas zza ściany może zaniepokoić panią sąsiadkę, że to próba włamania, ale miała to w nosie.

Rzuciła torbę w przedpokoju, a potem wzięła długi prysznic.

Dwa razy wydawało się jej, że ktoś stuka do drzwi, ale naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Jutro, kiedy powróci trochę do sił, wytłumaczy się pani sąsiadce.

Teraz nie chciała się pokazywać. Bo nikt nie lubi, żeby widziano jego łyzy. Podobnie jak nikt nie lubi, żeby obrzucano go epitetami.

- Co za idiota! - mówiła Gabrysia Kubacka. - Zakichany Tatar! Kretyn kwadratowy i zawiązany na supeł!

15

W piątek, czwartego lipca, Gabrysia wracała uśmiechnięta do domu swoich przyjaciół. W torebce miała bilet lotniczy do Toronto, kupiony zaraz po tym, jak uzyskała zgodę na skrócenie swojego urlopu.

Przy lewym krawężniku ulicy Orlej, pomiędzy jej blokiem a blokiem następnym, stał brązowy landrover. I choć takich samochodów było w Warszawie co najmniej kilkanaście, serce Gabrysi zabiło mocniej.

Wspomnienia z urokliwej tatarskiej wioski były jeszcze zbyt świeże, żeby o wszystkim zapomniała.

Może jutro, a może za tydzień Renata stanie przed ołtarzem nowego kościoła w Supraślu. A obok niej stanie ten wysoki, tak dziwnie pociągający mężczyzna. Zostawi piękny, stary dom w Kruszynianach, o malowanych okiennicach, i pójdzie mieszkać do Krzemionek. Za rok albo dwa przeprowadzą się do miasta. Albo może zostaną w Krzemionkach na zawsze. Będą uprawiać truskawki albo prowadzić bar, gdzie się podaje kartacze i ziemniaczaną kiszkę.

- Co mnie to obchodzi? - mruknęła Gabrysia Kubacka. - Czy mnie w ogóle może obchodzić los takiego faceta?

Machnęła ręką, weszła na podwórze, potem do klatki schodowej.

Na schodach pod jej drzwiami siedział wysoki mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i czytał gazetę.

Drgnęła zaskoczona.

- Jak tu trafiłeś?

Janusz Domino niespiesznie złożył gazetę i uśmiechnął się na powitanie.

- Zapomniałaś, z kim masz do czynienia? Ze mój cioteczny dziadek to Aslan Murza Krzeczowski, najprawdziwszy Tatar? A dlaczego król Sobieski osadził Tatarów na granicy? Bo byli mistrzami w podchodach!

- Ale jakim cudem?

- Dziś czasy są mniej romantyczne - westchnął Janusz i wstał. -

Zostawiłaś adres w wypożyczalni samochodów i na protokole dla ubezpieczenia. Zapomniałaś, że rozbiłaś samochód?

- Ja? - zdziwiła się Gabrysia. Janusz Domino rozejrzał się.

- Mogę wejść? Pomogę ci się spakować.

- Spakować? - podniosła brwi. - Po co?

- Jest wiele rzeczy do zrobienia, zanim ojciec wyjdzie ze szpitala. A wychodzi jutro - spojrzął na zegarek - przed czternastą.

Gabrysia Kubacka patrzyła wzrokiem, w którym były tylko pytania.

Kiedy wreszcie, ponaglana gestami, otworzyła drzwi, wszedł bez ceregieli i od razu zobaczył jej torby podróżne.

- O! - powiedział zaskoczony. - Czyżbyś mnie się spodziewała? To i lepiej, szybciej się z tym załatwimy.

Gabrysia weszła do przedpokoju, zamknęła za sobą drzwi.

- Nie zdążyłam się rozpakować - wyjaśniła zmęczonym głosem. -

Dlatego, że najpierw chciałam załatwić tę twoją sprawę. A teraz bagaże mam gotowe, bo właśnie...

Chciał zabrać torby i wtedy spytała:

- Czego właściwie chcesz? Janusz Domino udawał zdumienie.

- To nie powiedziałem? Zabieram cię ze sobą. Gabrysia Kubacka czuła się bardzo zmęczona.

- Nie zrozumiałeś mnie - wyjaśniła. - Nie mam ochoty uczestniczyć w twoim ślubie z Renatą.

Janusz wystawił torby na klatkę schodową.

- I nie musisz - rzucił spokojnie. - Z Renatą pożegnałem się ostatecznie.

Przecież to właśnie chciałem ci powiedzieć tamtej nocy. Że zadzwoniłem do niej i zaproponowałem spokojną rozmowę. Chciałem, byśmy się pożegnali bez wzajemnych pretensji.

Stal naprzeciw. Miał jasne, spokojne, pewne siebie spojrzenie.

- A teraz mnie zapytaj, po co przyjechałem.

- Po co przyjechałeś? - zapytała Gabrysia.

- Wyjechałaś bez pożegnania - przypomniał. - A jest kilka spraw niezłatwionych do końca i mnóstwo tematów przerwanych w połowie.

- Na przykład?

- Nie umiesz prowadzić samochodu, nie mówiąc już o ciągniku. Wątpię, żebyś wiedziała, jak przyrządzać nasze regionalne potrawy. Sołtys się o ciebie wypytuje. I dziadek pani Eismon-towicz. I mój ojciec.

- To wszystko?

- Nie - zaprzeczył. - Nie wszystko. Pamiętasz, jak łowiliśmy nasz półksiężyc w strumieniu? Przecież ktoś musi pilnować, żeby nie odpłynął na Białoruś. Czy to nie dobre zadanie dla nas obojga?

- To dużo - zgodziła się Gabrysia. - Ale jeszcze nie dość.

- Jeszcze jest pewien dom, straszliwie pusty bez ciebie...

Gabrysia policzyła w myślach, że wszystkie inne rzeczy, które chciałyby zabrać ze sobą, zmieszczą się do jednej torby. Choćby tej, co wisi tuż obok na wieszaku.

Zadzwoiła trzymanymi w ręku kluczami.

- To wszystko mało - podsumowała. - Mam mieszkać na zapadłej wsi, z kompletnie szurniętym facetem, który nawet nie zapytał mnie, czy czegoś podobnego sobie życzę? Może wolę miasto i...

- Do miasta jest pół godziny samochodem - oznajmił spokojnie. - A ja mam dobry samochód. Poza tym mam internet i możesz z niego korzystać, jeśli przyjdzie ci ochota popracować. Albo robić cokolwiek innego.

- Uprawiać ziemię, doić krowy? - spytała Gabrysia lekceważąco. Janusz Domino zrobił zafrasowaną minę.

- Z tym może być pewien kłopot - przyznał po namyśle. - Nie mam żadnych zwierząt. Mam tylko kawałek łąki i trochę siana.

- A traktor? - zdziwiła się.

- Pożyczyłem od sąsiada, żeby się przejechać. Przecież jestem historykiem, nie rolnikiem. Więc jak będzie, Gabi?

Wzruszyła ramionami.

- Kuisz mnie - przyznała. - Ale nadal czegoś istotnego mi w tym brakuje...

Janusz przyklęknął na jedno kolano. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął małe bukietki fiołków.

- Gabrielo Kubacka - powiedział. - Zupełnie nie wiem, jakich masz znajomych, i na pewno jest wśród nich wielu wspaniałych ludzi. Może niektórych traktujesz bardziej serdecznie niż innych. Może z niektórymi wiązałaś jakieś plany... Tak czy inaczej, pal ich wszyscy diabli! Bo widzisz, pokochałem cię od razu, chyba jeszcze tam, na drodze. Więc wyjdź za mnie, Gabi.

Dziewczyna uśmiechnęła się uszczęśliwiona. I ona przyklęknęła na jedno kolano.

- Aha - powiedziała. - Mniej więcej o to mi właśnie chodziło.

Rzeczywiście, znam wielu wspaniałych ludzi. Ale pal ich wszyscy diabli!

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest zupełnie przypadkowe.